NOWELKI

myśli ulotne i urywki

SKREŚLIŁ

Natan Zylbersztajn

z Wiślicy.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA
Druk Pawła Szymanowskiego, Daniłowiczowska 6.

1894.

NOWELKI

myśli ulotne i urywki

SKREŚLIŁ

Natan Zylbersztajn

z Wiślicy.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.
DRUK PAWŁA SZYMANOWSKIEGO
Daniłowiczowska Nr. 6.

1894.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Марта 1894 года.

NA KRAŃCACH.

POWIEŚĆ W JEDNYM TOMIE

NAPISAŁ

Natan Zylbersztajn z Wiślicy.

Było to w jednym z pięknych dni wiosennych. Lekki wietrzyk mdłem tchnieniem pieścił listki starych jodeł i świerków, któremi wysadzona była droga, wiodąca ze wsi Kuchar do Wiślicy.

Tuż za miastem rozpościerał się przepyszny krajobraz. Te strumyki, które cichym szmerem zdają się szeptać jakąś wieczną modlitwę, przebiegają w rozmaitych zakrętach pola i łany, gubiąc się w szczelinach, o których wiadomość sam Bóg tylko posiada. Dalej roztaczała się urocza rzeka Nida, płynąca równomiernem korytem do Wisły, owej cudownej ozdoby Bałtyku.

Drogą, po obu stronach kwieciem usłaną, szło kilku bachorów żydowskich, obszarpanych, zabrudzo-

nych; niektórzy szli boso, inni trzymali podarte obuwie, zawieszone przez plecy na odrapanej gałęzi; szli parami lub oddzielnie, a za nimi w pewnej odległości szedł rebe (nauczyciel) i belfer (pomocnik nauczyciela), niosący jakieś pakunki w ogromnym worku. Z radosnych twarzy tych małych bachorów i rozpromienienia rebego i belfera widać było, że to jakiś dzień uroczysty. Był to rzeczywiście „lag beomer“ *).

Zanim przystąpimy do dalszego opowiadania, musimy się bliżej zapoznać z rebem „Reb Lajbełe“.

Reb Lajbełe był to człowiek nizkiego wzrostu, nawet małym można go nazwać, w wieku 60 do 65 lat; trochę się jąkał — i nie mógł wymówić *r*, zażywał ciągle tabakę, palił fajkę i po każdem słowie oblizywał się, jak po konfiturach. W rozmowie musiał koniecznie interlokutora swego trzymać albo za brodę, albo przynajmniej za guzik od surduta, przytem trochę kulał na jedną nogę i nie lubił się czesać, wskutek czego jego pejsy nabrały formy kołtuniastej.

Szkoła jego mieściła się w izbie podzielonej

---

*) Trzydziesty trzeci dzień omeru. Od Wielkiej nocy do Zielonych świąt liczy się dni 49 (liczba ta nazywa się omer). Za czasów Rabi Akiba zaraza panowała między Tanaitami, a 33 dnia omeru ustała, oprócz tego Rabi Szymon Ben Jochua sławny Tanaita zgasł w dzień 33 omeru i uważał dzień ten za najradośniejszy w życiu; dlatego w dniu tym urządzają wszystkie chedery radosne przechadzki, rzucając do celu werferami (rodzaj dzidy z kawałkiem papieru na czworo złożonego) i t. p.

na kilka części, a mianowicie przy samych drzwiach była kuchnia, w której na małym klocku drewnianym z kańczugiem w ręku, lub obskrobanym kartoflem siedziała Sura Lieba, małżonka rebego.

Sura Lieba, była to druga żona Reb Lajbełe, kobieta lat 45 do 50, ze świecącemi policzkami wiecznie zasmarowanemi jakimś tłuszczem, w brudnym czepku, zakrywającym na szczęście połowę jej twarzy, w połatanej i z rozmaitych kawałków zlepionej spódnicy, a że ciągle kłóciła się i szwargotała, uzyskała więc przydomek Lieba *gregor* (szwargot).

Była to pierwsza część komnaty. Trochę dalej był długi stół o trzech nogach, a zamiast czwartej nogi służył róg łóżka, pod spodem którego leżały kartofle, buraki i kilka kogutów, które od czasu do czasu wrzaskliwem pianiem zabarwiały wykłady rebego.

Na ucztę szykującą się na „lag beomer", dzieci zbierają fundusze od świąt wielkanocnych i każde przynosi codziennie grosz, a ze sumy zebranej, rebe wyprawia dla całego chederu ucztę na pagórku w Kucharach. Uczta ta składa się zwykle z małych kiełbików, poławianych w rzece Nidzie, z rzepy i daktylów. Otóż dla spożycia tej uczty spotykamy cały cheder z rebem na czele, na drodze, wiodącej do Kuchar.

— Mój Baruchu — zagadnął rebe w zepsutym żargonie, idącego za nim belfera—dlaczego ja tu nie

widzę mego Chaimka i dlaczego nie wziąłeś go ze sobą?

— Co tam Chaimek!—rzecze belfer zadąsany—to jest wielki szajgec, on ciągle lata z gojami.

— Jakto — rzekł zafrasowany rebe — co ty gadasz? przecie on taki nabożny, tak się kiwa przy modlitwie, taki yle (zdolny).

— Tak — westchnął belfer — widziałem w zeszłym tygodniu, jak syn samego burmistrza, co to nosi takie doktorskie szlify, coś tam z nim gadał, a on zobaczywszy mnie, schował się za drzwiami.

— Może on chciał mu pejsy obciąć, albo krymkę zdjąć?

Nie dokończyli jeszcze tych słów, a już Chaimek cwałem gonił za nimi, trzymając w jednym ręku buty, a w drugim ugotowane jajko i pół kaszkietu z czapki, który został mu się jako reszta z bijatyki z bachorem w chederze, przezwanym Nysen Krocak.

Radość była wielka, gdyż Chaimek był ulubieńcem całego chederu, kochany przez rebego, pieszczony przez Surę Liebę, jego małżonkę, i w ogóle swywolny i rozpieszczony do najwyższego stopnia. Ponieważ Chaimek będzie nam potrzebny do opowieści, musimy nieco bliżej się z nim zapoznać.

Ojciec Chaimka, Reb Szachne, handlował zbożem i skopami, jeździł na jarmarki, facyendował dobrami obywatelskiemi, kupował drzewo dla warszawskich komisyonerów, słowem pan Szachne był człowiekiem znanym w okolicy, a że był przytem uczciwym i do-

brym, zyskał sobie zaufanie u obywateli i ogromny wpływ u swych współwyznawców. Nawet Reb Josele, rabin z Nowego Miasta, kiedy przejeżdżał przez Wiślicę, mieszkał, a nawet stołował się u niego, co się uważa za wielkie *zehie* (szczęście). Również burmistrz miasta, sekretarz, a nawet sam referent powiatowy gdy przyjeżdżał, zawsze do pana Szachnego wstąpił. Jedno mu tylko zarzucali w mieście, że za często w sobotę po obiedzie chodził do burmistrza, a niektórzy heretycy twierdzili, że nawet przysłuchiwał się, jak raz panna burmistrzówna grała na fortepianie. Niektórzy znowu sarkali, że pan Szachne trzyma jakąś gazetę i chodzi do sekretarza, pana Kifera, i tam w święta i soboty po kilka godzin czytują, nawet jeden z gabów chodząc kupować króliki do pana Kifera, zastał naszego pana Szachne z odkrytą głową, pijącego herbatę—i od tego czasu Reb Jankel, ów gabe, stronił od Szachnego, jak od zapowietrzonego. Nienawiść tę przeniósł on również na syna jego Chaimka, któremu zawsze przepowiadał, że będzie goj gumer i kiełbaśnik (apostata). O ile się ta przepowiednia sprawdzi, przyszłość okaże, tymczasem wracajmy do naszego towarzystwa, do wsi Kuchar.

Trudno opisać krzyk, wrzawę, bijatyki, jakie się tam odbywały; dość wspomnieć, że każdy wracał do domu oberwany, bez guzików, podrapany, a nasz Chaimek nawet z porządnym guzem na czole. Guzy te poczciwa matka zwykle ostrzem noża prostowała.

Nasz Chaimek nic sobie z tego wszystkiego nie

robił; martwiło go tylko, że Karolinka, córka Mizesa z Gościejewa, który zawsze na święta trąbki przyjeżdżał modlić się w synagodze w Wiślicy, nigdy z nim wdawać się nie chciała, a jak przyjeżdżała ze swoim ojcem, to siedziała cały dzień na folwarku u pana Górskiego, lub u siostrzenic księdza Strondały. Nasz Chaimek nie mógł pojąć, jakim sposobem Karolinka Mizes, żydówka, jak on, mogła robić wizyty u takiego hrabiego, jak był Górski, lub u księdza.

Otóż Chaimek postanowił zapytać się Karolinki, jakim sposobem ona to tak robi, i upatrzywszy chwilę, kiedy była samą, wślizgnął się potajemnie do pokoju Mizesa. Karolinka czytała jakąś książkę i nie spostrzegła go zrazu, a zoczywszy go wreszcie, zawołała do siebie i zapytała łaskawie, czego chce, żartując z nim złośliwie. Z początku Chaimek się zmięszał i zwyczajem rebego urwał Karolince kilka guzików, nareszcie, ośmielając się stopniowo, zapytał jej, skąd umie mówić z Górskim lub siostrzenicą księdza.

— Bo u nas — rzekła Karolinka — na wsi jest nauczyciel, który nas uczy.

— Dlaczego Reb Lajbełe mnie nie uczy—zapytał ciekawie Chaimek?

Chciała coś na to odpowiedzieć, ale prędko wbiegła do pokoju Frajda, matka Chaimka, złapała go za rękę, wzięła ze sobą do śpiżarni, dała mu z kilku słoików różnych konfitur, dwa jajka zafar-

bowane cebulą na kolor czerwonawy i poleciła słudze zaprowadzić go do chederu, a potem pójść po niego, już po wyjeździe Mizesa z jego przeklętą córką.

Na trakcie wiodącym z Buska do Pińczowa, nieco w bok od wsi Bogusławic, leżą dobra Gościejewice, będące od niepamiętnych czasów dziedziczną własnością rodziny Mizesów. Nikt w okolicy nie pamiętał, kiedy tu ta rodzina osiadła; nie wiedziano nic bliższego o niej; dwór bowiem w Gościejewicach, jakoby murem chińskim oddzielał się od całego sąsiedztwa i, jakoby zaczarowany zamek, zaciekawiał, a nawet imponował niektórym okolicznym wioskom, nie mówiąc już o tem, że żydzi z okolicznych miasteczek, jak to z Pińczowa, Wiślicy, Buska, Działoszyc, byli przepełnieni prawdziwą czcią i uwielbieniem dla Mizesów i całego dworu,

Nie było przechodnia, któregoby dwór w Gościejewicach z staropolską nie przyjął gościnnością; nie było biedaka, któregoby szczodra ręka pana Anzelma (tak bowiem nazywał się stary Mizes), hojnie nie wsparła. Jedni przyjmowani byli we dworze, a drugich przyjmował pan Marcin na folwarku. Ktokolwiek tu przyjeżdżał, unosił ze sobą przyjemne wspomnienie doznanej gościnności, i takim sposobem nazwisko Mizesów było wszędzie szanowanem. Wyjątek stanowili tylko zatwardziali hasydzi miejscowi, którzy twierdzili cichaczem

(nie śmieli bowiem głośno sarkać), że pan Marcin stary meszymet (apostata) zastępuje w Gościejewicach miejsce rabina rzezaka (szoeheta), a nawet chazena (kantora) w dni powszednie. Utrzymywali nawet, że cała rodzina Mizesów zbierała się codziennie w przepysznej sali o wysokich kolumnach naznaczonej na dom Boży, z panem Marcinem na czele — że codziennie rano i wieczorem odprawiali nabożeństwo.

Reb Szymon Krymkopf z Pińczowa, tak przezwany z powodu ciągłego wykrzywiania twarzy i wysuwania prawego ramienia nad lewe (co dawało mu szlabanową postać), otóż Reb Szymon twierdził i ogromnie tajemniczo w kahałach rozpowiadał, że nocując raz w Gościejewicach, zaproszony był na kolacyę; stół był zastawiony różnemi potrawami, a nawet zdawało mu się, że widział tam wieprzowinę, takie samo mięso jak u sekretarza Kiefera i burmistrza. Rozumie się, że Reb Szymon siedział sobie w krymce i nie tknął podawanych mu przysmaków, ale poszedł spać w przekonaniu, że cała rodzina Mizesów już oddawna z dziada i pradziada ochrzczona, gdyż widział na jednym stole na własne oczy mięso i masło razem, prawie na jednym talerzu. Ale jakież było jego zdziwienie nazajutrz rano, gdy go pan Marcin wprowadził do owej modlitewni! Sam pan Marcin dźwięcznym głosem zaintonował: „Jak piękna chwała Pana“, a cała rodzina Mizesów była tam zebraną; byli tam i „pułkowniki“ z orderami na czapkach (studenci), „naczelniki“ w okrągłych

czapkach, na bakier założonych, jak to noszą huzary (uczniowie politechniki), nawet stał tam jeden jenerał, co to gwiazdę miał przy guziku i brylant większy jak orzech (doktór wojskowy). Otóż wszyscy ci zebrani byli w modlitewni, z pełną skruchą i pokorą słuchali skromnej modlitwy pana Marcina; pan Szymon żadnego kiwania nie widział, nawet nikt na palcach nie skakał, stali wyprostowani i zgnębieni przed majestatem Wszechstwórcy, zanosząc mu jakąś bolesną skargę. Wszystkie oczy były zwilżone, kiedy niekiedy wydobywało się westchnienie, a pani Mizes i córka jej Karolinka prawie swego łkania nie mogły utamować.

— Dziwna rzecz — opowiadał Reb Szymon — i ja byłem tą sceną wzruszony, nie rozumiejąc, o co chodzi. Mimowoli ckliwo zrobiło mi się na sercu i zapłakałem jak dziecko. Ale nie potokiem onych pereł, które jak kryształy spoczywają na dnie naszej duszy, lecz pod wpływem wstrząśnienia, jakby iskrą elektryczną wyprowadzone, strumieniem oblewają nasze lica, zrzucając takim sposobem ciężar, który nas przygniatał.

Im wyższą jest inteligencyja w człowieku, im wyżej się poziom jego wyobraźni podnosi, tem słabiej manifestują się na zewnątrz jego wrażenia. Gdy różnorodne żywioły fermentują w duszy naszej, gdy mozaika uczuć i wrażeń drga w wyobraźni i przegląda się w niedościgłym ideale, jak przy wschodzącem słońcu krople rosy na wyłaniającej się w przestrzeni tęczy, które powiew lekkiego zefi-

ru w następstwie z gałązek zwalnia, tak i myśli nasze i uczucia kołyszą się w duszy i wyobraźni, aż skrystalizują się w jednem westchnieniu, w jednej modlitwie u stóp Przedwiecznego. To też od razu jęki Reb Szymona i jego skoki w modlitewni zbudziły rodzinę Mizesów z ogólnego przygnębienia, a jego wykrzywiania i podrygi tak były dziwaczne, że wszystkich twarze mimowoli się uśmiechnęły, a nawet Karolinka ku ogólnemu zgorszeniu przytomnych w głos się roześmiała, nie mogąc oprzeć się humorystycznemu wrażeniu, jakie dziwaczna rozpacz i podrygi Szymona mimowoli sprawiały na obecnych.

Tak opowiadał Reb Szymon, a kiedykolwiek przypomniał sobie tę scenę, sapał zawsze i kłęby dymu z fajki wypuszczał, nos tabaką napełniał, a jednak wybiegających łez wstrzymać nie mógł, ocierając takowe rękawem, albo połą od kapoty. Reb Szymon do dnia dzisiejszego nie może sobie zdać sprawy, czego oni chcieli, i dlaczego on na wspomnienie tej uroczystej chwili bezwiednie płacze. Któż bowiem może zaciekać do tajników wiary, któż może zbadać to silne, święte i miłosierne ogniwo, którem Bóg jakoby niezbadaną okową nas złączył. Biada temu, kto nigdy nie doznaje rozkoszy w miłowaniu nieskończoności, tego szlachetnego talizmanu, stojącego, jako kolos, na straży powinności cnoty i honoru, prowadzącego nas niekiedy bezwiednie na szeroką drogę życia z poczuciem jego cierni słodyczy i obowiązków.

Wracając do Reb Szymona, był on zatwardzia-

łym hasydem, uważającym za występek najmniejsze zboczenie religijne; ale był przytem człowiekiem prawym, nie należał do owych pasożytów, paryasów, siedzących cały dzień w zakopconem *sztybel* nad rozwiązywaniem kwestyj talmudycznych z czasów Antoniusza i Kleopatry, chociaż sam twierdził, że były to wiadomości historyczne potrzebne. Przedewszystkiem chciał zarobić na utrzymanie swojej rodziny, siedział więc po całych dniach, ze swojemi pomocnikami i pracował. Reb Szymon był bowiem z powołania tokarzem, a w wolnych chwilach uprawial naukę talmudu, którą bardzo lubiał; dzieci postanowił wychować na rzemieślników, utrzymywał bowiem, głaskając się pod brodę i wypuszczając gęste kłęby dymu: „niema chleba — niema nauki“.

* *

*

W Sierpniu 186.... roku w miasteczku Wiślcy był zgiełk niezwykły; obchodzono 25 letnią rocznicę kapłaństwa poczciwego księdza Strondały. Cała szlachta okoliczna, niewyłączając najwyższej arystokracyi, jakto hrabiowie Dembscy, Fryczowie, a nawet margrabiowie Wielopolscy z Chrobrza Noińscy, Wielogłowscy i wogóle cała szlachta ze Skalmierskiego i Jędrzejowskiego, Korcina i Chmielnika, aż pod Koszyce i Opatówek, śpieszyli powinszować czcigodnemu prałatowi tyloletniego kapłaństwa, kapłaństwa, które tak godnie, z takiem namaszczeniem piastował.

Ksiądz Strondała był zacnych zasad człowiekiem, miłującym wszystkich ludzi zarówno, bez różnicy stanu, wiary i narodowości — mawiał bowiem — że Bóg odróżnia tylko ludzi uczciwych od nieuczciwych, cnotliwych od występnych, szlachetnych od podłych, wspaniałomyślnych od mściwych i prawdę od kłamstwa. Twierdził również, że Bóg przyjmuje szczerą modlitwę zarówno w synagodze, jak w kościele, szczerą łzę w lepiance kmiecia, jak w pałacach możnych panów i książąt, dlatego też w całej okolicy panowała bratnia zgoda, nie było swarów, ani kłótni, a ksiądz Strondała z uśmiechniętą wiecznie twarzą, godłem spokoju jego zacnej duszy, doczekał owoców tyloletniej pracy.

Głównym punktem zjazdu było przedmieście, wiodące do Kobelnik i Chotelu Czerwonego. Całe to przedmieście, nie wyjmując części od mostku Wiślickiego aż do skał Sieleckich, były zapełnione furami, tak, że okoliczna szlachta, dążąca z powinszowaniami, musiała jechać drogą koło zaczarowanego zamczyska i Szczobakowa na plebaniję, która mieściła się prawie w końcu wspomnianego przedmieścia. Podróż ta o tyle była nieprzyjemną, o ile kursowały pogłoski i tajemnicze szepty między ludem, że zamek ten miał podziemne korytarze, zbudowane jeszcze za króla Łokietka i Kazimierza Wielkiego, ciągnące się od Wiślicy do nowego miasta Korczyna, a zapadłe w XV wieku za panowania Władysława III Warneńczyka. Mówiono, że słychać tam nieraz rozmaite świsty i gry na różnych instrumentach, ja-

kieś jęki i żałosne płacze. Pastuszkowie opowiadali, że kładąc monetę srebrną, szczególniej piątki, na powierzchni zamczyska, słyszeli przez kilka godzin grę na różnych instrumentach, bachory w chederach opowiadały, tuląc się do komina i zwijając z przestrachu w kłębek pod brudną ławę *sztiblów*, że pan Zarembski obywatel ze Żurawnik, kilka razy chciał orać na tym gruncie, lecz w nocy czarownice i złe duchy wszystko w niwecz obróciły, pługi i radła o kilka staj na bok odrzuciły, a pole przez noc zarosło jak wprzódy. Starzy znowu, *chuchemy* (mędrcy) w mieście, a nawet *guloni* (mieszczanie) rozpowiadali o świeczkach chodzących, które w postaci kóz, owiec lub innych zwierząt chowały się pomiędzy wozy podróżnych, prowadząc ich na manowce przez całą noc, a później znikały, naigrawając się z podróżnych.

Jakkolwiek szlachta mniej bojaźliwa, nie przywiązywała wielkiej wagi do pogłosek ludowych, jednak zaklęte miejsca owe mimowoli robiły na przejezdnych dziwne wrażenie. Jeden tylko pan Stojewski, człowiek ze wszech miar odważny i dobry, uśmiechał się z pod muszystego wąsa, mówiąc staropolskim zwyczajem: „Sen mara, Bóg wiara“.

Po przybyciu gości, cała procesya udała się do kościoła, położonego na targowisku, na drodze, wiodącej do Koniecmostów.

Kościół wiślicki należy do najstarszych zabytków w stylu gotyckim, o wysokich wieżach i bogatej kolumnadzie, z bogato rzeźbionemi portykami i fasadą

poważnego dłuta. Armatura z epopei rycerskiej, tryumfów odniesionych na turkach i tatarach, przedstawią się wspaniale. W ogóle kościół wiślicki należy do najozdobniejszych w całej okolicy.

Po nabożeństwie wszyscy się rozjechali, zostali tylko najbliżsi znajomi księdza Strondały, zaproszeni na skromną ucztę, która odbyła się wieczorem w plebanii. Przyjechał również na tę uroczystość pan Mizes z córeczką, zajmując swój zwykły pokój w domu Szachnego a że pani Frajda zajętą była zbieraniem jakiejś składki *Neduwa*, przeto nasz Chaimek, korzystając z jej nieobecności, wślizgnął się do pokoju Mizesów, gdzie między nim a Karolinką zawiązała się żywa rozmowa.

— Otóż — rzekł Chaimek do Karolinki — ja chciałbym się uczyć, jak naprzyklad dzieci burmistrza albo Kiefera.

— Przyjdź do nas — rzekła naiwnie Karolinka — to będziesz się uczył razem ze mną. Mój tatko taki dobry, to może pozwoli.

— A kiedy ja tak brzydko jestem ubrany i zawsze się pani wstydzę — rzekł płaczliwie Chaimek.

— Poproszę dzisiaj twego ojca, Chaimku, aby ci sprawił nowe ubranie; on taki dobry, pewno nie odmówi.

Na wspomnienie ojca Chaimek zaczął uważniej się przysłuchiwać. On rzeczywiście nigdy ojcu nie wspominał, że chce się uczyć a ojcu nie śniło się o tem, że jego Chaimek, mający naówczas już lat dwanaście, zaczął myśleć, co z niego będzie, stronił

co raz więcej od chederu, nie zachęcały go nawet czułości Sury Lieby. Najwięcej przebywał na podwórku u burmistrza, albo też u kasyera Piotrowskiego, wpływu zaś nikt na niego nie wywierał, oprócz Karolinki, którą uważał za coś wyższego, doskonałego.

Jeszcze tego samego dnia Karolinka wymogła u swego ojca i pana Szachnego, że naszego Chaimka ostrzyżono po europejsku, ubrano przyzwoicie, a pan Mizes wziął go z sobą do Gościejewic na parę tygodni. Trudno opisać kłótnie, waśnie, rozpacz matki, zdziwienie, sarkania i przekleństwa całego kahału. Pana Szachnego nikt głośno nie śmiał zaczepić, ale wyjazd jego syna do Gościejewic był krokiem ogromnie odważnym, a nasz Josel ów Gabe, co mu przepowiedział, że będzie gojem, biegał cały dzień od domu do domu, sapał i szturchańcami częstował ludzi na wszystkie strony, mówiąc:

— Wszak mówiłem, że ten chłopak będzie meszymet, a dzisiaj twierdzę, że jeszcze może będzie gorszym od samorodnego Mizesa i jego przeklętej córki.

Tymczasem w życiu naszego Chaimka nadszedł zwrot szczęśliwy. Przeniesiony z atmosfery brudnego chederu i świecących policzków Sury Lieby do czystego, schludnego pokoju w Gościejewicach, razem z dziećmi Mizesa, pod czułem okiem pani Mizes i guwernera, sprowadzonego z Warszawy, inaczej patrzył na świat, zaczęło się dla niego nowe życie. Chaimek

z całym zapałem ciekawego dziecka rzucił się do książki. Nauczywszy się czytać, chciwie chwytał naukę historyi, geografii, geometryi, nauk przyrodzonych; wszystko to chciwie pożerał — i po roku nauki guwerner oświadczył, że Chaimek, którego nazwano Henrykiem Klein, zdać może egzamin do trzeciej klasy. To też nasz Chaimek, którego odtąd i my Henrykiem Klein nazywać będziemy, udał się do Pińczowa i złożył świetnie egzamin. W gimnazyum uczył się dobrze, profesorowie go protegowali, starali się dla niego o lekcye prywatne, a przechodząc z klasy do klasy ukończył chlubnie gimnazyum, dostawszy świadectwo z odznaczeniem za postępy w naukach.

* *

*

Przy ulicy Dzikiej w domu Halbera w Warszawie, w małej izdebce, nieco w bok od głównych schodów położonej, mieszkało trzech studentów: Jakób Mrzonkowski, Józef Łapa i Ignacy Wyprzedzalski.

Na drzwiach domu wielkiemi literami była wypisana karta: „Kawalerskie mieszkanie do wynajęcia, bliższa wiadomość u pana Rozenzweiga na 3-em piętrze". A że to właśnie było w miesiącu Sierpniu, kiedy uczniowie wracali z feryj dla rozpoczęcia dalszych nauk, dom Halbera cały dzień był alarmowany. Panów lokatorów nigdy w domu nie było, stróż mieszkał w piwnicy, zaś u pana Rozenzweiga również nikogo zastać nie było można, to też czwarte łóżko

wspomnianej izdebki (owo mieszkanie kawalerskie) stało próżne, gdyż zgłaszający się amatorzy musieli odchodzić z niczem, jak od niezdobytej twierdzy.

Niemało też zdziwiła się Marcelowa (kobieta używana do posług) kiedy nazajutrz po opowiedzianym wypadku, znalazła czwarte łóżko zajęte. Wprawdzie nie było na niem pościeli, gdyż wszystkie deski z powodu braku miary stały w kącie rozebrane, ale za to około samego pieca, nieopodal od drzwi, leżał ogromny siennik, a na nim, zamiast poduszek, kołdry i w ogóle pościeli, leżał ogromny szlafrok czerwonawy, dobrze już wytarty, który stanowił cały majątek ruchomy nowego lokatora. Poznajemy w nim naszego znajomego z Wiślicy, Henryka Klein. Przyjechał on również, a raczej przyszedł *per pedes apostolorum* do Warszawy, dążąc tu, jak wielu innych, celem zdobycia nauki, imienia, a może i stanowiska w przyszłości.

Jasno wytkniętego celu nasz bohater nie miał; wszystkie jego wrażenia od dzieciństwa, świat zewnętrzny, różne obrazki najrozmaitszych i w dziwny sposób skombinowanych uczuć, zdań i pojęć, jakoby w zaczarowanym kalejdoskopie, trzymały jego fantazyę, serce, uczucia, w namiętnym i nienormalnym nastroju. Nie mógł też wysnuć racyonalnego wątku z myśli swoich, co do stanowczego zamiaru na przyszłość, nie umiał też usystematyzować swych czynności, ani ustanowić harmonii w dążeniach swoich.

Drugi z czterech lokatorów, pan Jakób Mrzonkowski, był synem bakałarza z Lublina, skończył

świetnie gimnazyum w Chełmie, uczęszczał na wydział prawny warszawskiego uniwersytetu i zajmował się przytem filozofiją i poezyją, do której szczególnie miał ogromną słabosć; pisywał również rozmaite artykuły do gazet; słowem, bawiąc się w publicystę i pedagoga, kształcił i podnosił swego ducha. Myślał ciągle o ideałach, jak wielu młodych ludzi, którzy, nie zdoławszy nabrać sami, ani zdrowych praktycznych poglądów na rzeczy, ani dążności specyjalnej, nie mogąc znaleźć dla siebie samych podpory w życiu, ani zająć podmiotowego stanowiska, zamiast starać się chociaż o maleńkie miejsce w owym kolosie, nazwanym światem i społeczeństwem, zamiast być malutką cegiełką, konkretnym atomem w nieskończonym tym budynku, cały ten wszechświat ze Stwórcą razem, mierzą polotem fałszywej, rozognionej i bujnie spaczonej fantazyi, i uważają wszystkich ludzi za piony szachowe owej jaźni, z której wysnuwają najsprzeczniejsze i przez samych siebie niezrozumiałe frazesy i epitety, nazywając to poezyą, nauką zdrowej loiki, postępem cywilizacyi i t. d. Do takich ludzi należał pan Jakób Mrzonkowski. Fakultety uniwersytetów, profesorowie, snuli się przed jego wyobraźnią, jako małe, nic nieznaczące figury, — wielkości dyplomatyczne, ekonomiczne i naukowe były u niego nic nieznaczącemi i błahemi osobnikami, ale za to w swojem przekonaniu on sam był znakomitością, miał uszczęśliwić ludzkość, dlatego też pisywał poezye, rozwikływał dogmaty religijne i w kilku słowach streszczał systematy filozoficzne.

Rozumie się, że niewdzięczne redakcye artykułów jego nie przyjmowały, pisma tygodniowe nie uznawały jego nieśmiertelnych poezyj, a dydaktyczne wywody o filozofii i logice czytywał swoim uczennicom i ich opiekunom, wskutek czego tracił lekcye w najlepszych domach. Przebywszy półtora roku na wydziale prawnym, przeniósł się na wydział filologiczny i uczęszczał przytem do prosektoryum. Chciał jeszcze przejść na wydział medyczny, ale w końcu rzucił uniwersytet, gdzie, jego zdaniem, niczego nie uczono, i został nauczycielem, czekając czegoś od przyszłości, o czem mawiał tylko półsłówkami, uśmiechając się ironicznie. Był bowiem pewny katedry uniwersyteckiej i zdawało mu się dziwnem, że go dotychczas jeszcze za powagę naukową nie uznano.

Zupełnie inaczej przedstawiał się pan Józef Łapa, syn rymarza z Koniecpola. Wypędzony z 2-ej klasy gimnazyum lubelskiego za złe postępy w naukach, dostał się do 2-ej klasy 1-go gimnazyum w Warszawie, gdzie po 12-tu latach złożył nareszcie egzamin i przepchnął się na wydział prawny uniwersytetu. Pan Józef Łapa był ogromnym pozytywistą — wierzył w swoją nieudolność. Nie przypuszczał, aby po skończeniu uniwersytetu mógł mieć korzystną praktykę kiedykolwiek, nie przypuszczał, aby wogóle mógł kiedykolwiek wygrać jakąś sprawę, ale mawiał, że po skończeniu uniwersytetu dobrze się ożeni i będzie miał pieniądze; nie myślał nawet o tem, że i pieniądze należy umieć trzymać. Ale

miał ćel przed sobą — a czytając pandekta lub prawo rzymskie, widział rozpostartą mamonę, która, jakby kleszczami, dane paragrafy i ustawy w pamięć mu wlepiała. W pożyciu koleżeńskiem był nieużytym, w rozmowie nieprzyjemnym, w stroju zaniedbanym, nawet pralniom niewiele dawał zarabiać, kupował bowiem na Senatorskiej ulicy u Arnolda kołnierzyki i mankiety papierowe, ale zato miał zawsze nowe galony przy mundurze i białe, jak śnieg, naszywki na czapce. Pan Józef Łapa nie czynił tego z braku funduszów, gdyż stołował się u państwa Liebser na Pradze, w charakterze konkurenta do najstarszej córki;—za mieszkanie również nie płacił, gdyż dawał lekcye u gospodarza, a przytem utrzymywał jeszcze trzech sublokatorów, od których miał jakiś dochód i dawał jeszcze kilka lekcyj prywatnych. Gdy go koledzy prosili o pożyczkę odpowiadał zwykle: „nie mam ani grosza“.

Trzeci z lokatorów domu przy ulicy Dzikiej, Ignacy Wyprzedzalski, był synem pokątnego doradcy z Radomia. Skończywszy gimnazyum w Radomiu, wstąpił na wydział medyczny w Warszawie i utrzymywał się z lekcyj. Była to osobistość zwyczajna, jakie często w życiu napotykamy. Odznaczał się chyba ogromną blagą i ciągle opowiadał o awanturkach miłosnych,—o swoich zdobyczach salonowych, pokazywał listy miłosne od hrabianek i córek bankierów, które zwykle sam pisywał zmienionym charakterem, dla rozbudzenia u płci pięknej podziwu i uwielbienia dla swej osoby.

Wysuwał się zawsze naprzód, w rozmowie nie dał nikomu przyjść do słowa; chciałeś usiąść — już Wyprzedzalski miejsce zajął, chciałeś angażować damę do tańca — już Wyprzedzalski z nią walcuje. Skłonność wysuwania się naprzód pielęgnował już w gimnazyum w wysokim stopniu: jeżeli nauczyciel o co zapytał, nasz Wyprzedzalski, wiedział czy nie wiedział, zawsze dwa palce do góry podnosił; często otrzymywał od nauczyciela burę, a od kolegów niejednego guza, ale to nic nie pomagało; wyrywał się ciągle, wszędzie go było pełno. Takim pozostał do dnia dzisiejszego, pomimo że już był studentem uniwersytetu.

Bohater nasz, po ulokowaniu się we wspomnianej izdebce, zaczął przedewszystkiem myśleć o sposobie utrzymania, następnie zapisał się na wydział prawniczy, do którego okazywał zamiłowanie. Wprawdzie pan Jakób odwodził go od tego zamiaru, dowodząc, że adwokaci rujnują społeczeństwo. Wyprzedzalski zaś i Łapa namawiali go na wydział medyczny, ale on pozostał przy swojem i zapisał się na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego.

*　　*

*

W Gościejewicach od kilku tygodni był ruch niezwykły. Bawili tam na letniem mieszkaniu u Mizesów: najstarszy zięć ich dr. Geisler z Krakowa ze swą rodziną, spokrewniona rodzina Fajntuchów, Pro-

perowie, a z tymi ostatnimi jako przyjaciółka panny Karoliny bawiła od dni kilku panna Sydonia Zielińska, córka powiatowego doktora z Tarnowa.

Całe towarzystwo zbierało się wieczorem w salonie u państwa Mizesów. Przepędzono czas na czytaniu, urządzano różne gry towarzyskie, a przeważnie bawiono się muzyką. Karolinka była poważną i zamyśloną; wprawdzie młodsza siostra jej, Jadwinia, starała się ją rozerwać, ona jednak uśmiechała się wprawdzie, ale uśmiech ten miał wyraz smętny, szczebiotanie było wymuszone. Jadwinia, widząc to, dała za wygraną i podeszła ku mieszkaniu pana Marcina, zkąd dolatywały ją dźwięki fortepianu z akompaniamentem pięknego głosu mezzo sopran. Śpiewano scenę z „Trubadura“ Verdiego, przed klasztorem „*sei tu uno ange*“. Śpiew był piękny i dźwięczny, to też w krótkim czasie przynęcone nim całe towarzystwo zbliżyło się do okien pana Marcina; cisza panowała zupełna, a po skończeniu śpiewu odezwały się huczne oklaski dla mocno zafrasowanej panny Zielińskiej.

— Jeden tylko młody człowiek nie klaskał; stał z okiem wlepionem w roznieconą postać śpiewaczki, jakby przykuty do miejsca, a po skończonym śpiewie, widząc przed sobą nieznajomą, uważał za najstosowniejsze przedstawić się i przeprosić, że mimowoli był niedyskretnym świadkiem tego uroczego śpiewu, który wszystkich tak zachwycił. Całe towarzystwo weszło powoli do mieszkania Marcina, a córka jego panna Ludwika, przedstawiała wszy-

stkim adwokata przysięgłego, pana Henryka Kleina, osiadłego od kilku miesięcy w gubernialnem mieście Kielcach.

Przybycie pana Henryka do Gościejewic w niczem nie mięszało przyjętego porządku; widocznem było, że był tutaj częstym gościem, traktowany przez całą rodzinę nadzwyczaj uprzejmie. Wkrótce rozgościł się w pawilonie dla siebie przeznaczonym, a wieczorem jeszcze tego samego dnia galopował na swoim ulubionym Kastorze, w towarzystwie panny Karoliny. W czasie przejażdżki oboje młodzi rozmawiali wesoło, a znając się od dzieciństwa i mając różne wspólne wspomnienia, pamiątki doznanych wrażeń, znajdowali do rozmowy temat niewyczerpany. Nic dziwnego, że między nimi zawiązała się ścisła przyjaźń, tolerowana przez pana Anzelma i jego małżonkę, jak również przez całą rodzinę Mizesów, gdyż Henryk umiał sobie zaskarbić serca wszystkich, tak w gimnazyjum, jako też i w uniwersytecie, a obecnie klijentów, zjednywał sobie miłem i przyjacielskim obejściem.

Zostawiliśmy Pana Kleina w izdebce przy ulicy Dzikiej. Postarał się prędko o dobre lekcye; wyprowadził się od trzech szałaputów, którzy mu co chwila głowę nabijali czem innem, a skończywszy uniwersytet, rozpoczął praktykę u mecenasa Cholewińskiego w Kielcach, gdzie też następnie własną kancelaryę otworzył. Wszyscy mu powierzali sprawy, nawet gabowie z Wiślicy i sam Reb Szymon Krymkopf, a że złych spraw nie przyjmował (miał

bowiem zdrowe pojęcie o logice i sprawiedliwości), w krótkim czasie zjednał sobie sławę w całej okolicy. Do Mizesów jeździł prawie co tydzień, wstępował po drodze do Buska, dokąd się jego rodzice przenieśli, a ztamtąd zwykle wybierał się do Gościejewic, gdzie święta zwykł był przepędzać.

Karolina Mizes, dziewoja o wspaniałym wzroście, zgrabnej kibici, wysmukłej szyi i matowej cerze twarzy, całą swą postacią przedstawiała istotę pełną prostoty, dobroci i rezygnacyi. Zupełnym jej kontrastem była Sydonia Zielińska, panna najwyżej 17-to letnia, średniego wzrostu, prawie niskiego, cery brunatnej, o czarnem oku, otoczonem długiemi rzęsami, o hebanowych kruczych włosach, gęstemi kędziorami spadających w nieładzie na jej śnieżne ramiona, o ustach koralowych, otoczonych cudnemi rzędami białych pereł; nos miała mały nieco zadarty, znamionujący energię, a wszystkie rysy twarzy tak sympatycznie pociągające cudnym i tajemniczym urokiem, że samo ukazanie się jej rozpromieniało wszystkich.

Zaiste, dziwną i pełną uroczych tajemnic jest dusza ludzka. To, co przez pewien czas wydawało się człowiekowi wymarzonym ideałem, odrazu ginie w pomroku zapomnienia, po którem lekki wietrzyk nieraz ślady niweczy.

Nasz bohater od dzieciństwa przywykł uważać Karolinkę za coś wyższego. Ze stopniowym postępem w naukach i rozwojem inteligencyi serce jego i umysł uszlachetniały się z każdym dniem, przy-

wykł wyżej cenić pannę Mizes, uważając ją za istotę doskonałą i godną uwielbienia. Czuł dla niej prawdziwe przywiązanie człowieka, pojmującego całą doniosłośc wdzięczności, jaką jej był winien, - zdawało mu się, że bez tej istoty, bez tego anioła, który stał się w jego życiu bezwiednym przewodnikiem, straciłby inicyatywę i cały świat byłby dla niego pustynią bez celu. O przyszłości nikt nie wspominał. Cała rodzina Mizesów, a nawet Kleinów, wogóle sąsiedztwo i całe otoczenie uważało ich za połączonych i nie śmiałby nikt przypuścić, ażeby kiedyś inaczej być mogło. Oni sami również o przyszłości między sobą nigdy nie mówili, ale szli spokojnie ręka w rękę, z ufnością w Bogu i poczuciem serdecznej i na wzajemnem szacunku opartej przyjaźni.

Od kilku dni panna Karolina spostrzegła, że pan Henryk stał się ponurym i posępnym, a nawet trochę roztargnionym. Nie uszło również jej baczności, że przy pożegnaniu z panną Sydonią, oko jego zwykle tak spokojne, zimne, jakoby ogniem zabłysło i chociaż trwało to jedną chwilę, chociaż był to niby przypadkowy błysk ukrytego brylantu, ale promień był tak silny i tak energicznie stłumiony, że nie uszło to baczności Karolinki, która w osłupieniu patrzyła za odjeżdżającym, nie mogąc myśli zebrać, ani zdać sobie sprawy z tego wszystkiego. Wesoły i srebrzysty śmiech panny Zielińskiej przypomniał jej atoli, że nie wypada odłączać się od towarzystwa, do którego też machinalnie wróciła.

*
* *

W mieście Kielcach, od samego rana przybite na wszystkich rogach ulic czerwone afisze zapowiadały o mającym się odbyć odczycie z dziedziny fizyologii porównawczej, przez znanego literata pana Jakóba Mrzonkowskiego.

Po odczycie, który przeznaczony był na korzyść niezamożnych uczniów gimnazyjum, miał się odbyć wieczorek tańcujący, na który komitet, z inteligencyi miejscowej na prędce złożony, zaprosił kwiat młodzieży kieleckiej i z okolicy. Do komitetu i ułożenia programu zabawy należał również i pan Klein, jednomyślnie wybrany za gospodarza balu. Biletów i programów dostać było można w księgarni Goldhaara lub też w polskim hotelu u pana Mrzonkowskiego.

Zabawy są rzadkiem na partykularzu zjawiskiem, a rzadziej się jeszcze udają. Tu przeciwnie, spotykamy najlepsze rodziny, jak również naszych znajomych z Gościejewic, pannę Mizes, Geislerównę, pannę Zielińską, oraz liczne grono studentów, bawiących wówczas na wakacyjach w domu. Wszyscy byli wesoło usposobieni, w oczekiwaniu przyjemnej zabawy— z wyjątkiem samego prelegenta pana Mrzonkowskiego. Chodził on od samego rana z rozczochraną grzywą, wielkiemi krokami po pokoju, mrucząc, sapiąc, wywijając rękoma w powietrzu, słowem, pan Mrzonkowski chodził, jak opętany.

— Żebym chociaż—rzekł głośniej sam do siebie, uderzając się pięścią w czoło — żebym chociaż był wybrał inny tytuł, ale: fizyjologia porównawcza!.. Nie! nie, to niepodobna! Już sama fizyjologia jest

absurdem — a jeszcze „porównawcza“ do tego... Nie pojmuję. co mnie jako poetę, jako literata i wogóle jako człowieka obchodzić może fizyjologia — i to porównawcza. Ale głupstwo! trzeba przecież coś powiedzieć... Mam tu wprawdzie ze sobą traktat o antropologii, profesora Meyera, ale... Jakież „ale“? Antropologija, fizyjologija—jeden dyabeł! Trzeba im przeczytać słowo w słowo to studyum, a publika będzie zachwyconą. Wreszcie nie będzie to znowu tak bardzo plagiatem.. Wprawdzie napisał to, a raczej dyktował profesor Meyer, ale te same idee i mnie nieraz przychodziły do głowy, a chociażby i nie przychodziły—dla publiczności powinno być obojętnem, czy to napisał Meyer, czy Mrzonkowski.

Wyprostował się jak długi, poprawił krawata, najeżył jeszcze raz czuprynę i zaczął w sposób następujący: „Szanowni słuchacze! jeszcze nigdy nie byłem przejęty takiem drżeniem, jeszcze serce moje nigdy nie doznawało tak rozkosznego wrażenia, jak w chwili obecnej. Zaszczycony łaskawemi względami szanownych słuchaczy, stoję przed szlachetnie zebraną publicznością dla wyjaśnienia kwestyi, będącej od wieków argumentem przeróżnych rozpraw wprawiającej świat cały w labirynt myśli i studyjów“.

— Tutaj — przerwał sobie pan Mrzonkowski — zacznę w dalszym ciągu temat rozwijać.

O ile mu się to udało, wkrótce się przekonamy.

Po skończonej tualecie, udał się pan Mrzonkowski z wizytą do pana Kleina, którego na szczęście nie

zastał w domu, był on bowiem cały dzień zajęty w sądzie okręgowym. Wrócił więc nasz prelegent do hotelu, gdzie wprawiał się w czytanie kilku lekcyj antropologii profesora Meyera, poprawiając wciąż czuprynę. Pogodził się wreszcie z samym sobą, czekając spokojnie na wieńce i laury, które swym płodnym odczytem zdobyć zamierzał.

*   *
*

Nadszedł nareszcie pożądany wieczór.

Sala uroczyście była przystrojona, kandelabry pozapalane, publiczność licznie zebrana oczekiwała z niecierpliwością rozpoczęcia zapowiedzianego odczytu.

Pan Jakób Mrzonkowski dla większego efektu wszedł na estradę kilka minut później, z rozpromienionem obliczem, pewną postawą. A chociaż odczyt jego był przeplatany niektóremi epitetami, specyalnie dla osobistości słuchaczy przeznaczonemi, tem niemniej całość wypadła na korzyść prelegenta i obsypany został w końcu grzmotem hucznych oklasków... Nie potrzebujemy dodawać, iż przekonany był, że w zupełności na takowe zasłużył.

Wkrótce potem publiczność się rozeszła, — pozostali tylko goście zaproszeni na wieczorek i niebawem odezwały się poważne dźwięki orkiestry, zapraszające do poloneza, którym zwykły się u nas zabawy rozpoczynać.

Pan Klein cały prawie wieczór towarzyszył *ex officio* pannie Mizes, z tą lekką swobodą i rzetelną galanteryją, cechującą ludzi dobrze wychowanych. Nie było w nim widać najmniejszej przesady, ani nadskakiwania; z całego obejścia, pełnego prostoty, można było poznać człowieka poważnego, pojmującego godność swą i obowiązki. Umiał on odpowiednio znaleźć się w każdem kółku towarzyskiem; to też ogólną zjednał sobie sympatyję i poważanie.

I dziś nasz bohater przewybornie się bawił. Wprawdzie kilka razy, gdy go panna Zielińska do mazura wybrała, nie mógł sobie zdać sprawy ze swych wrażeń, czując jej białą rączkę w swojej dłoni, — zdawał się być pod wpływem wonnej, a wypieszczonej i złotemi snami opromienionej czarodziejki, jakby przykuty niezwalczoną siłą do tej istoty, którą widział drugi raz w życiu. Ona spojrzała na niego, umyślnie czy przypadkowo?... Któż odgadnie ten labirynt serca kobiety, dość że to, co w jej oku widział, zdawało mu się znajomem, wiecznem, nieskończonem, głębokiem jak myśl, niezbadanem, jak twórczość—i znowu na chwilę zabłysnął ogień w jego wzroku, znowu tajemnicze jakieś tętno zadzwoniło w jego duszy, ale było to tylko jedno mgnienie, jedna błyskawica...

Wprawdzie pan Henryk nie zważał dotychczas na pojedyncze indywidua; kształcąc się w szkole życia, pokochał świat i ludzi — nie rozumiał innej pracy, jak pracę dla wszystkich ludzi; pojmował własny obowiązek surowo i nigdyby nie dopuścił

się przekroczenia na korzyść swego ja. To też wobec obowiązków, jakie miał dla Mizesów, odkryte w sercu swem nowe uczucie zdawało mu się świętokradztwem, którego miłość z całym zasobem swego słownika nie mogła uniewinnić. Z całą też zwykłą sobie energią starał się odzyskać spokój, ale w każdym razie wieczór ten otworzył jakoby przepaść między nim a Karolinką, a serce jego mimowoli wypełniło się przeczuciem nowego ideału.

* *

*

Zostawiliśmy pana Jakóba, zbierającego obfite laury po sławnym odczycie z fizyologii porównawczej. Pan Jakób był również małym bohaterem *in partibus*. Wytworzyła się naokoło niego mimowoli aureola — składająca się z kółka starych panien, dewotek i niektórych półgłówków, stanowiących główne ogniwa kółka literackiego w Kielcach.

Był tam i radca Dybalski, który nowości znosił, i pani radczyni Sroczyńska, która obgadywała wszystkich i wiecznie zbierała składki na jakieś cele dobroczynne; była i pani sędzina Przepiórkowska z trzema córkami, z których najmłodsza liczyła już 28 wiosnę; było wreszcie kilka rodzin poważniejszych, jak: Zabiełowie, Płatkiewicze i Krzykały.

Pan Płatkiewicz był podobno kiedyś przedsiębiorcą, nawpół budowniczym w Stopnicy, a że, jak

twierdzą złośliwi, zbudował dom dwupiętrowy bez schodów, wskutek czego do pierwszego piętra można było dostąpić za pomocą drabiny, lecz wyżej niepodobna, więc też nie powierzano nadal panu Płatkiewiczowi prac technicznych. Nie przeszkadzało mu to jednak kupić sobie domu w Kielcach i tytułować się panem radcą. Pan Płatkiewicz miał spory mająteczek i dwie córki na wydaniu, z których jedna wychowana była na wsi w Słabkowicach pod Chmielnikiem, a druga Eulalia na pensyi w Kielcach.

Panna Eulalia miała naówczas lat 17; przeczytała już wszystkie romanse Pawła de Kocka, Fewala, Suego i Dumasa. Obdarzona romantyczną fantazyą, panna Eulalia postanowiła być bohaterką, istotą niezwykłą, marzyła o księciu Dżalmie, wyciągającym do niej ręce i żebrzącym jej spojrzenia. Nic dziwnego, że pan Mrzonkowski przypadł jej do gustu; znalazła w nim bowiem świetny grunt dla swoich płodnych marzeń.—I pan Jakób w krótkim czasie również był jakoby w siódmem niebie, a matka Eulalci z domu Sobkówna, uśmiechała się wpół seryo, gładziła dwuznacznie koniec swego śpiczastego nosa i nie mogła dość nacieszyć się wrażeniem, jakie jej Eulalcia zrobiła na znakomitym profesorze i prelegencie, panu Mrzonkowskim. Ten ostatni również był rozpromieniony — i odprowadziwszy do powozu pannę Eulalię, został sam na ulicy, oszołomiony tem wszystkiem, co się wokoło niego działo.

Szedł machinalnie w stronę hotelu i nagle uczuł

ogromną czczość we własnem sercu. Wyglądał, jak człowiek spadły, z obłoków — w zwyczajne prozaiczne stosunki życia.

Największem złem było to, że pan Mrzonkowski był goły, jak bizun. Właściciel hotelu często już przez numerowego rachunek mu przedstawiał, na który pan Mrzonkowski zwykł był odpowiadać: „później". A że przed samym odczytem pan Michalski, gospodarz hotelu, kategorycznie i stanowczo domagał się albo pieniędzy, albo opróżnienia lokalu, to też pan Mrzonkowski uważał za najstosowniejsze nie wracać więcej do tego niewdzięcznego hotelu, w którym go tylokrotnie nudzono tak prozaicznemi kwestyami, jak zapłatą za lokal, mącąc tem samem najidealniejsze poloty jego wzniosłych idei.

Ale gdzie tu iść i co ze sobą począć?—mimowoli zaświtało w jego poetycznej głowie. Nie mógł przecież myśleć o tem wcześniej, kiedy budował społeczeństwo wykładem antropologii, kiedy ze swą anielską Eulalcią pod niebiosa się wznosił. W owej chwili zapomniał o świecie — zostawił materyalizm za sobą i, jakoby w rzece Lethe, we własnej próżności go utopił. Ale gdy został sam na ulicy, gdy wiatr świsnął mu nad uchem, ów niewdzięczny Boreasz, którego w myśli razem z Homerem uwielbiał— gdy wezbrane chmury lunęły strumieniami wody, podmywając nielitościwie jego cienkie i niezbyt masywne obuwie, stanął w obec takich faktów, jak żak, nie umiejący lekcyi, i na podobieństwo Krezusa,

wspominając na słowa swego kolegi Józefa Łapy, westchnął dwukrotnie: „o! Józefie! Józefie!“

* *
*

W Kielcach, przy ulicy Małej, w narożnym domu parterowym, mieściła się restauracya, szumnie zatytułowana „Pod Lwem“. Właściciel tej restauracyi pan Cypryan Grzybek, sprowadził przed kilku laty damską orkiestrę, a gdy mu się to opłaciło, postarał się o dobór śpiewaczek niemieckich i pomału jego zakład gastronomiczny przybrał formę teatrzyku, któremu nadał nazwisko „Eldorado“. Sciany pokryto obiciem jaskrawej barwy, przystrojono kilkoma obrazami treści mitologicznej, z rozmaitych epizodów życia Bachusa, Junony i innych bożków Olimpijskich uzmysłowiających cel przybytku sztuki. Z boku urządzone było zagłębienie w kształcie sceny, z przyległym buduarem dla garderoby występujących śpiewaczek.

Restauracya „Pod Lwem“, obecnie „Eldorado“, rzęsiście oświetlona, zawsze przepełniona była gośćmi; dźwięki fortepianu rozlegały się tu do późna w nocy. Bufet był starannie zaopatrzonym, pan Grzybek zaś nadzwyczaj usłużnym i wiecznie uśmiechniętym gospodarzem. Publika kielecka była mu wdzięczną za urządzenie lokaliku, w którym jako tako można było zabijać nudne wieczory zimowe. Za wejście

nie płaciło się nic, ale po każdych trzech numerach obchodziła coraz to inna śpiewaczka z talerzem, zbierając dziesiątki i złotówki—a z przybywających tutaj gości wszyscy przecięciowo wracali do domu rozochoceni, rozbawieni — ale goli. Pod wpływem muzyki i zmysłowych wrarzeń, czuli się szczęśliwi— dopiero, wyszedłszy z przybytku tej „muzy“ — niejeden, ochłodzony świeżem powietrzem, zaczynał pojmować całą czczość przemarnowanych kilku godzin i poczuł znaczny deficyt w kieszeni.

Ale za to dyrektorowa trupy, pani Agnes Nelli, zacierała ręce z radości i, obliczając codziennie obfity zbiór, śmiała się w duszy z łatwowiernych chlebodawców. Pani Agnes Nelli pochodziła z małego miasteczka w Turyngii, gdzie ojciec jej był pastuchem. Od dzieciństwa nabrawszy popędliwości do biegania, przyłączyła się później do bandy cyganów, z którymi razem wędrowała po Węgrzech i Morawii. Następnie dostawszy się do Wiednia, przez parę lat prowadziła tam rozwiązłe życie, występowała jakiś czas w osławionym „Cafe Laférl“, nareszcie, dobrawszy sobie jeszcze kilka podobnych rozpustnic do towarzystwa, zaczęła podróżować po miasteczkach Szlązka i Galicyi. W Krakowie spotkała się z panem Grzybkiem, który zakontraktował towarzystwo jej do Kielc.

Agnes Nelli miała lat 38, co jej nie przeszkadzało ubierać się w krótką sukienkę i trykoty i zmysłowemi śpiewami w towarzystwie odpowiednich ewolucyj, zachwycać publiczność i huczne zawsze

zbierać oklaski. Dość było spojrzeć na jej twarz, aby wyczytać z jej rysów całą historyę jej życia i przeszłości To spojrzenie konwulsyjne i niespokojne, ta wyczekująca, wyzywająca i straszna megeryczna rozwiązłość, ta rozpusta, wyzuta z wszelkiej przyzwoitości, tėn śmiech suchy, zmięszany z kaszlem i chrypką, uśmiech podobny raczej do skrzywienia konającego, ta lodowata i obrachowana czułość, ta ciągła praca nad zdruzgotaniem w człowieku poczucia jego godności i każdego szlachetnego popędu, a odurzenia go w jakiemś zmysłowem i strasznem odrętwieniu, — wszystko to odbijało się wyraźnie w tej twarzy. Była to istota podobna do dzwonu, który, wydając echa na wszystkie strony, przeciągłe, to czułe, smętne, to znów wesołe i dźwięczne — sam pozostaje głuchym i niewzruszonym spiżem. Nelli, upojona i odurzona gorącemi trunkami, płakała czasem rzewnemi łzami, ale były to łzy bezwiedne, jakieś wybryki zdenerwowanej czułostkowości, niezależnej od niej samej. Jednocześnie umysł jej kombinował, jakie korzyści z tych łez wyciągnąć.

Oddawszy wszystko na pastwę ludziom, te nieszczęśliwe istoty nawet tej małej pociechy nie mają, aby mogły zapłakać szczerze nad sobą... Płakać, znaczy myśleć o sobie — a istoty te boją się własnego poczucia, samych siebie.

* *

*

„Pókim dobry, słodkie drzewko!...... Na Jowisza przysięgam!... Jak babcię kocham!“... Te i tym podobne wykrzykniki zwróciły uwagę pana Jakóba Mrzonkowskiego, który w swej wycieczce nocnej, jakby instynktem wiedziony, dotarł do restauracyi Pod Lwem, obecnego „Eldorado“.

Wszak to Józiek Helin, przysięgam na Boga, to jego głos, niema wątpliwości! Tak to on. Zapomniawszy o wszystkiem, zatarł nasz poeta ręce z radości, jak Archimedes po wynalezieniu sposobu do rozwiązania zagadnienia geometrycznego, zwanego *centum bovum* i krzyknął owe sławne „eureka“. Wszedł rozpromieniony do osławionego „Eldorado“, a radość była wielka, gdyż pan Helin był szkolnym kolegą i przyjacielem pana Jakóba. Ukończywszy gimnazyum, poświęcił się zawodowi kupieckiemu. Jako komiwojażer znanej firmy „Fridlaender i S-ka“, objeżdżał gubernialne miasta i prowincye. Zostawmy pana Jakóba z jego filozoficznemi spostrzeżeniami nad znikomością rzeczy ludzkich, opuśćmy nawet mówkę, jaką wypowiedział, zagrzawszy się mocnemi trunkami i napełniwszy żołądek — o stosunku platonizmu i obyczajowości i o nędznem położeniu i tendencyi naszego wieku. Pozostawmy wreszcie pana Jakóba w hotelu Krakowskim, do którego następnie przeniósł się z panem Helinem, a wracajmy do naszego opowiadania.

Kto w życiu nie kochał, komu świat nie uśmiechnął się tym szczerym dźwiękiem lutni; czyje serce

nie było kołysane owym słodkim, tajemniczym szeptem urojonego przez duszę, w purpurowe szaty odzianego ideału; kto nie czuł się w wonnej atmosferze magnetycznego prądu, na lekkich skrzydłach złotej fantazyi, niesionym w tajemnicze przestworza; kto nie znajdował się w tem słodkiem, a niemem odurzeniu, jakoby cały świat z wszystkiemi rozkoszami był tylko małą kropelką niezgłębionego morza jego własnego upojenia; kto nie czuł owego nieskażonego, słodkiego uczucia, nie dającego się niczem ująć, niczem uchwycić, owej iskierki, topiącej się w wiecznej melodyi, niedościgłej ni myślą, ni akordem, — ten nigdy pojąć nie zdoła uroczego wpływu, prawdziwej miłości. Zdaje się wówczas, że cały wszechświat wyzuł się ze wszystkich cudów swoich, aby sumą tych wdzięków, jakoby aureolą, ideał nasz otoczyć. Doznajemy tak błogiej rozkoszy, iż chcielibyśmy w odwet za wszystko cały świat uważać za jedno skupione dobro i takowe do serca przycisnąć. Nic dziwnego, że zakochani nie widzą nic oprócz samych siebie. Miłość nie rozbiera ani pozycyi towarzyskiej, ani stosunków familijnych — jest ona bezwzględną jak konieczność, piękną jak świat i jasną jak obowiązek.

I panna Sydonia kochała. Kochała całą siłą młodocianego serca, całą potęgą swego nieugiętego charakteru; pokochała od pierwszej chwili Henryka, szła za popędem serca, nie starając się bynajmniej pohamować swego uczucia. Tak jej było błogo w tem uroczem zaklęciu, że z początku twarzyczka

jej, zwykle tak figlarna, spoważniała; oczy nabrały wyrazu jakiegoś nieokreślonego i smętnego, a na tle jej serduszka mimowoli i stopniowo zarysowywała się postać Henryka, która, zdawało się, nagle i niespodzianie z jej duszą się zrosła Panna Sydonia nie żyła fantazyą, ani mrzonkami; ideałów nie tworzyła; nie była to jedna z tych lalek woskowych, wychuchanych na romansach francuzkich, lub bohaterek emancypowanych, ale jedna z wybranek losu, obdarzonych duszą i sercem, rozumem i wolą, zdolną do poświęceń, konsekwentna i stanowcza w najwyższym stopniu. Już w dzieciństwie mała Sydzia dawała wszystkim poznać przyszły swój charakter. Jeżeli jej się sprzeciwiano, tupała niecierpliwie małą i zgrabną nóżką i tak długo nalegała, aż wreszcie postawiła na swojem. W dzieciństwie był to zwykły upór, który z biegiem lat zamienił się na nieugiętą wolę. Rodzice panny Sydonii, majac córkę jedynaczkę, nadzwyczaj ją pieścili.

Pan Józef Zieliński był synem obywatela z Przemyśla. Praktykując po skończeniu uniwersytetu kilka lat w rodzinnem swem mieście, jako lekarz, otrzymał posadę powiatowego lekarza w Tarnowie, dokąd następnie przeniósł się ze swoją rodziną. Panna Sydonia została u swej babki we Lwowie, gdzie skończyła konserwatoryum i, mając już lat 17, wróciła do stęsknionych rodziców, którzy i tak prawie co tydzień odwiedzali ją we Lwowie. Z przybyciem panny Sydonii do rodziców, dom doktorstwa znacznie się ożywił. Urządzano wieczorki i zabawy,

których duszą była panna Sydonia. Jej humor, srebrzysty i wesoły śmiech, pewne i niewymuszone obejście, tak pięknie harmonizowały z sobą że pociągały serca wszystkich.

Będąc przez kilka lat w konserwatoryum razem z panną Zdzisławą Mizes, siostrą Karolinki, obie pokochały się prawdziwie i prawie co miesiąc odwiedzały się wzajemnie. Przyczyniło się do tego także i pewne pokrewieństwo, gdyż pan Mizes, brat pana Anzelma z Jaworzna, ożenił się z rodzoną siostrą pana Zielińskiego.

Pan Zieliński był człowiekiem bardzo zacnego charakteru, kochał nad życie swoją córkę i głównym jego dążeniem było wydać ją za mąż za swego synowca, Stanisława Przedeckiego, który skończył uniwersytet w Wiedniu i osiedlił się na swojem gospodarstwie we wsi Kutnówce, niedaleko Jarosławia. Pan Przedecki od dzieciństwa kochał swą małą kuzynkę, którą zwykle nazywał małą Sydzią, potem odwiedzał ją bardzo często we Lwowie, u ciotki swojej pani Adeli Przemyskiej. Usposobienia młodych zgadzały się, to też poczciwy doktór cieszył się w duszy, że wybór jego trafił do serca i do gustu obojga dzieci.

Przyjazd pana Przedeckiego do Tarnowa zawsze był pożądany. Stanisława mile widziano w domu, był bowiem bardzo wesołego usposobienia, trochę uszczypliwy, a wreszcie miał bardzo dobre serce i gładkie obejście. Nie był on pięknym mężczyzną:

wysokiego wzrostu, twarzy pociągłej, o cerze brunatnej i czole w stosunku małem do całej twarzy, pan Stanisław na pierwszy rzut oka bardzo niepozorne robił wrażenie. Panna Sydonia w ogóle zdawała się wcale nie zwracać uwagi na niego, śmiała się z nim razem, lubiła z nim walcować, gdyż tańczył bardzo dobrze, często się z nim drażniła — zresztą Stanisław nic stanowczego od niej dowiedzieć się nie mógł.

Stanisław zastał swą kuzynkę dziś samą w salonie. Zajęta robótką, zdawała się sama z sobą rozmawiać:

— Tak, dziś jest dzień dla mnie radosny... On przyjedzie, zobaczę go po kilku miesiącach niewidzenia... Wszak na jego zapytanie przy pożegnaniu, czy my się jeszcze zobaczymy, mimowoli wysunęły mi się wyrazy... I oznaczyłam dzień moich imienin.

Zarumieniła się przy tych słowach, lekko przygryzła wargi, tupnęła nóżką, rzuciła rozpoczętą robótkę i jednym tchem była przy fortepianie. Grała, sama nie wiedząc co. Myśli jej i uczucia falowały w przestworzu bez granic, akordy niezrozumiałe i burzliwe przechodziły w smętne i niewyraźnie ożywione gubiły się w słodkiem i spokojnem pianissimo. Sama nie czuła, jak dwie łzy, niby dwa błyszczące brylanty, stoczyły się na rozkosznie uśmiechniętą i ożywioną jej twarzyczkę.

Stanisław stał przez chwilę jakby w osłupieniu; obdarzony pewną bystrością, zrozumiał, że musiało

zajść coś niepospolitego w życiu tej dziewczyny. Przypomniał sobie, zestawiając wypadki, że od czasu jej ostatniego pobytu w Gościejewicach widział ją nieraz roztargnioną, niecierpliwą, dąsającą się, a nawet że to nie pierwszy raz widział twarz jej, noszącą ślady łez. Jako człowiek dobrze wychowany i pełen taktu, zwinnie wymknął się z mieszkania, ale postanowił zbadać głębiej to serduszko, a jeżeliby ono było zajęte, biło dla kogo innego, wyrwać ideał ten z jej serca i ustosunkować odpowiednio dalsze postępowanie ze swą małą i miłą, jak ją nazywał, kuzyneczką.

Mimo swego niepozornego wyglądu, Stanisław był dyplomatą; utrzymywał, że serce każdej kobiety zdobyć można, jak niezdobytą Troję, figlem, dyplomacyą; trzeba tylko czasu, cierpliwości i pewnej znajomości serca kobiety, aby z tej lutni, jak Orfeusz ze swej liry, najdźwięczniejsze tony wydobyć. Wiedział on wprawdzie, że z jego kuzyneczką nie tak łatwa sprawa, nie tracił jednak nadziei. Gdy o tem myślał, twarz jego całą przebiegłością i siłą inteligencyi ożywiona, była prawie piękną i pewnym urokiem i wdziękiem do siebie pociągała.

Długoby trwało dumanie, w którem pogrążoną była nasza bohaterka, ale turkot nadjeżdżającego powozu i trzaskanie z bicza zbudziły ją nagle. Poskoczyła do okna, a widząc nadjeżdżających gości, wbiegła do pokoju swego, aby toaletę trochę poprawić i godnie wystąpić w roli solenizantki. Chciała przedewszystkiem zapanować nad sobą i odzyskać

dobry humor, którym zawsze czarowała otoczenie, ale szło to nadzwyczaj trudno. Za każdym odgłosem dzwonka serce jej biło gwałtownie i rozczarowanie malowało się na jej twarzy, przy witaniu swych najlepszych przyjaciółek i znajomych.

— Cóż, kuzyneczko — zapytał z przekąsem pan Stanisław — jakoś naszego mecenasa nie widać... A tak wysławiałaś jego punktualność i cnoty — dodał prawie ironicznie.

— Nie bądź tak uszczypliwym, panie Stanisławie. Opowiadałam ci tylko wypadkową z panem Henrykiem znajomość... A gdyby nie przyjechał, byłby to tylko dowód, że się niewiele interesuje twoją małą kuzyneczką — rzekła z przekąsem — tembardziej, że moje zaproszenie mogło być niedostatecznem, a jakkolwiek moi rodzice poznali się z nim u ciotki Mizesowej z Jaworzna, być jednak może, iż go nie zaprosili. Właśnie mama nadchodzi; niech się kuzynek zapyta — rzekła z przymileniem.

— Bardzo pięknie — rzekła doktorowa, zbliżając się — zamiast bawić gości, usiedliście sobie na stronie i gruchacie, Bóg wie o czem Oj ty bałamucie— rzekła do Stanisława, uderzając go wachlarzem po ramieniu.

— Ciociunia także niełaskawa — odpowiedział Stanisław, korzystając ze szczęśliwego obrotu mowy, miała nam ciocia przedstawić pana Kleina, tymczasem jakoś go nie widać. A może ciocia dobrodziejka wcale go nie prosiła?

— Ale przestań, powiadam, że przyjedzie; wszak dopiero przed dwoma tygodniami odprowadził nas do bratowej z Jaworzna, aż pod sam Rataj i, gdyby nie ważne sprawy, już byłby przyjechał. A jakże! wszak i o tobie Sydziu wspominał... Nazwał cię u wujowstwa wirtuozką, czarodziejką.

— Dziękuję serdecznie, dziękuję cioci za objaśnienie — przerwał strategicznie pan Stanisław, który nie mógł znieść tych pochwał i oczu swej kuzynki, które z tryumfem na nim spoczęły.

W tej samej chwili wszedł do sali pan Zieliński, prowadząc pod rękę kochanego gościa.

Był nim pan Henryk Klein. Wszyscy byli bardzo ciekawi poznać naszego mecenasa, tembardziej, że jego historya i przeszłość doskonale były znane całej okolicy.

Oczęta naszej Sydzi radością zajaśniały... Podając swą małą rączkę na przywitanie Henrykowi, była cała drżąca i wzruszenia swego pohamować nie mogła.

A on? Trudno opisać, co się działo w jego duszy — trudno go było poznać.. Twarz jego zbladła, oczy nabrały jakiegoś błędnego i nieokreślonego wyrazu, widocznie zaszła w nim jakaś zmiana. On cierpiał i walczył; wyczytała to Sydonia w pierwszem spojrzeniu, w pierwszym dźwięku jego głosu przeczuwała instynktem kobiety jakąś burzę.. Mimowoli dreszczem przejęta, miała rękę zimną jak lód.

Dwie te istoty tak mało się znały, a tak równomiernie czuły... Tak dalecy byli od siebie, a ich tętna i dusze splatały się tak harmonijnie i dźwięcznie! Tak krótko się znali, a tak potężny wulkan zbudził się w ich piersiach, że rozumieli się samą siłą tchnienia, pojmowali błyskiem wzroku, zjednoczyli upojeniem duszy i harmonią wzajemnego oczarowania.

A jednak Sydonia przeczuwała instynktem przepaść bez granic, labirynt bez wyjścia i drogę bez celu.

* *
*

Są chwile w życiu człowieka, w których charakter jego i niezłomne postanowienia, pod wpływem imaginacyi i niezatartych wrażeń, leżących w psychicznym ustroju naszej duszy, ulegają silnym wstrząśnieniom, a nieraz zostają zupełnie wykolejone.

— Jakto? — zapyta ironicznie krytyk — rzucając się z niedowierzaniem cynicznem — jakto być może? Jeżeli postanowienie jest niezłomnem, jeżeli powziął je charakter silny, naonczas nic tego postanowienia złamać nie może. — Ale — powtarzam — jesteśmy tylko ludźmi... Są wrażenia silniejsze od nas samych. Dumni swą pozycyą, olśnieni pochwałami społeczeństwa, widząc w cudne szaty i zachęcające błyskotki odziane otoczenie, widząc innych w jakimś wyższym amfiteatrze, oddzielonych szran-

kami przyzwoitości od reszty społeczeństwa — i my wzdychamy do owego świata i my również wdziewamy jakiś pancerz imponujący, który nas oddziela od bliźnich naszych; kładziemy rękawiczki na nasze ręce, aby ich nie podawać tak łatwo do uścisku poczciwej nędzy, i stajemy odrazu wyprostowani, sztywni, jak posągi systematycznem dłutem wyryte, ale bez serca i bez życia. A jednak jest jeszcze coś, co nas wyrywa niekiedy z tej apatyi. Jest to uczucie, które niezwalczoną siłą burzy wszelkie wyrachowania, zmienia czyny, hamuje pychę człowieka, niweczy arogancyę. Tem uczuciem, tym talizmanem, tą ożywczą rosą dla stroskanego serca, jest miłość i wspomnienie matki. Któż bowiem zdoła zapomnieć oblicza tej istoty, która patrząc z utęsknieniem w kolebkę swego dziecięcia, świat marzeń, jasnem spojrzeniem przelewa w niewinne jeszcze serduszko. Kto zdoła wydrzeć z pamięci owe święte rysy rodzicielki swej, zgnębionej najmniejszym żalem swego dziecka? Wspomnienie matki jest ową nitką, łączącą duszę z Bogiem, jest pączkiem wiecznie zieleniejącego się kwiatu w duszy, sercu i wyobraźni człowieka.

* *
*

Rozmowa nie kleiła się jakoś. Nie mogli do niej znaleść wątku, aż nazajutrz po odjeździe gości, gdy pan Henryk został sam na sam z małą Sydzią, nie-

wiadomo jakim sposobem mimowoli przyszło do słodkiego wyznania.

— Kocham — powtarzał Henryk stokrotnie — kocham — szepnęło dziewczę zarumienione, tuląc się z rozkoszą do jego piersi.

— Przeczuwałam wczoraj ten huragan, który miotał sercem twem Henryku!...

— Tak jest, najdroższy aniele — rzekł Henryk, oddychając swobodnie, jak po minionej burzy — po wyjściu za mąż panny Karoliny, mej ukochanej dobrodziejki, za mego kolegę szkolnego, pana Józefa Łapę, odetchnąłem swobodnie, sądziłem że z upojeniem mogę się oddać marzeniom o tobie, od pierwszej chwili przezemnie ukochanej i w marzeniach moich różową tęczą opromienionej. Tak jest przyznaję, że pokochałem cię od pierwszej chwili tą szaloną i świętą miłością, która nigdy zagasnąć nie może, której tchnieniem nieśmiertelnem dusze nasze się łączą... Ale ja mam matkę; matka ta stanęła między mną a tobą. Matka moja nie wiedziała o tem, że nietylko jesteś aniołem, ale należysz także i do mej wiary. Wiedząc o mych zamiarach, bardzo często do mnie przyjeżdżała, osypując mnie jak w dzieciństwie, swojemi pieszczotami i rozmawiając ze mną o mojej przeszłości. Matka moja nietylko jest nabożną; jest ona także bardzo zacną i rozsądną kobietą, doszła do przekonania, że wykształcenie jest człowiekowi niezbędnem, ale nie powinien przeto gardzić ani swą rodziną, ani swą religiją.

— Sądzę, kochany Henryku — rzekła panna Sydonia z powagą — że matka twoja ma zupełną słuszność. Jak wykształcenie, tak i miłość bez wiary nie mają żadnej przyszłości, żadnego powabu, a iluzya, owiana chłodem rzeczywistości, topnieje w materyjalizmie i pozbawia nas najszlachetniejszych popędów.

*   *
*

W kilka dni po tej rozmowie odbył się w Tarnowie ślub pana Henryka Kleina, mecenasa w Kielcach, z panną Sydonią Zielińską, na którym naszych wszystkich znajomych widzimy, rozpromienionych szczęściem naszego bohatera. Nawet pan Mrzonkowski przyjechał, palnąwszy przy tej okazyi mówkę o tolerancyi w ogólności i o stosunku psychologii do magnetyzmu.

Był również na ślubie z panem Szachne ów Gabe Josel, który znacznie posiwiał, ale niemniej szturchał wszystkich, na wszystkie strony, a przywiózł z sobą do Wiślicy taki zapas nowin, że mu materyjału do opowiadań na długo nie zabraknie.

Tymczasem nasi szczęśliwi małżonkowie młodzi wrócili do Kielc, gdzie stale się osiedlili i dotychczas jeszcze mieszkają, działając dla dobra bliźnich i szczęścia swej rodziny.

Łódź dnia 28 Grudnia 1886 roku.

KONIEC.

NA RÓWNINIE

NOWELKA

skreślił

Natan Zylbersztajn

z Wiślicy.

WIELMOŻNEMU

Izraelowi K. Poznańskiemu

Prezesowi Gminy Izraelskiej i honorowemu obywatelowi m. Łodzi

w dowód wysokiego poważania poświęca

Autor.

I.

Życie pięknym jest bukietem, —
Gdy urokiem jego wiara, — a dewizą praca.

Autor.

— Muszę przyjąć guwernera do naszego Olesia, — rzekł przy herbacie jeden z obywateli Tomaszowskich, pan Leon Fajnholz, do swej córki. — Była wprawdzie obecną i pani Eliza Fajnholz, lecz w ogólnej rozmowie przy stole familijnym zdawała się mało brać udziału.

— Tak jest tatuniu — rzekła panienka o modrych oczach i rumianej twarzyczce, — właśnie prosiłam pannę Detroit, aby przysłała nam guwernera od Kirbiców, który ma jeszcze kilka wolnych godzin.

— Jak pan uważasz, panie Julijanie? — zapytał pan Leon siedzącego obok młodego człowieka.

— Nie wiem, czy zdanie moje... — odrzekł pan Julijan.

— Proszę, bardzo proszę — powtórzył z naciskiem pan Leon.

— Otóż ja śmiałbym zauważyć, że panna Detroit może być osobą inteligentną, ale jako francuzka nieobeznana z naszemi potrzebami i warunkami wychowania naszej młodzieży, pomijając już i pewną egzaltacyę, która...

— Niech tatko nie zważa na słowa pana Julijana,— przerwała żywo nasza panienka, którą zwali w domu Aniutą, — ona zaś sama pompatycznie kazała się nazywać panną Antoniną.—Czy ojciec kiedy słyszał, aby pan Julijan, który ma dziwne usposobienie wiecznie się sprzeczać, na jakiekolwiek zdanie się zgodził, szczególniej dla mnie jest bardzo łaskawym — dodała z przekąsem.

— Założę się, tateczko — dodała, ożywiając się stopniowo, że na przedmiot widocznie biały, jak alabaster, gdy ja zdanie to wypowiem, pan Julijan z zamkniętemi oczami z pewnością powie: czarno.

I czy dla potwierdzenia białości, czy też wypadkiem wyciągnęła dłoń rzeczywiście tak nieskazitelnej białości, że mogłaby bez zarzutu współzawodniczyć z alabastrem najszlachetniejszego gatunku.

— Po części pani ma słuszność, — odparł spokojnie i z pewną ironiją w głosie pan Julijan. Przedmioty białe, czy też różowe, i innych barw jaskrawych, zachwycają nieraz umysły wrażliwe, pociągają oryginalnością, typem nieswojskim, obczyzną... I panna Antonina w swym optymizmie fantastyczną grę barw właściwe światła i cienie względnie tylko ocenić może. U ludzi, patrzących

na rzeczy trzeźwo, gry tych kolorów ciemniej i mniej wesoło się przedstawiają. Nie są to sprzeczki, łaskawa pani, to względne tylko pojęcia. Wracając do przedmiotu — dodał tonem poważniejszym, — wyznać muszę, że wybór nauczyciela domowego i przyszłego kierownika młodzieńca jest zadaniem ważnem, obowiązek trudny, za trudny do spełnienia egzaltowanej francuzce która, powtarzam naszych potrzeb i warunków etycznych nie zna i znać nie może.—Mówił z zapałem, — na twarzy jego niepokaźnej a ożywionej jaśniał wyraz tak serdecznego przejęcia się, że i Aniuta na chwilę zamyśliła się, zdawała się ulegać wpływowi Julijana, a pani Eliza podeszła do niego, podała mu rękę, mówiąc: *dziękuję.* W jednym tym wyrazie mieściło się zupełne uznanie. Pani Eliza z domu Graetz, wychowana starannie i bogobojnie zupełnie zdawała się zgadzać z zasadami Julijana.— Mówię: zdawała się, — pani Eliza bowiem była dyplomatką. Urodzona w Kolonii nad Renem, jako córka poważanego i zacnego bankiera Henryka Graetz, została poślubioną Leonowi Fajnholz, synowi jednego z większych fabrykantów w mieście Bernie (Brünn) w Morawii. Przez stosunki i znaczny rozwój przemysłu wełnianego w Łodzi i Tomaszowie pan Fajnholz przeniósł się do tego ostatniego, gdzie na pierwszą urósł potęgę, zajmując przez swój fabrykat, rozgałęzione stosunki i położenie finansowe wybitniejsze stanowisko.

Z małżeństwa tego państwo Leonowie mieli córkę jedynaczkę i kilku synów, którym świetne i tro-

skliwe starali się dać wychowanie. Jakkolwiek nie we wszystkiem pani Eliza mogła według swych zasad córkę wychowywać, gdyż ojciec pieścił ją zbytnio i często w przyjmowaniu nauczycieli kierował się protekcyami, a wyborowi pedagoga, który nie odpowiadał wymaganiom, pani Eliza *pro honore domus* nie stawiała oporu, nie chcąc naruszać spokoju domowego, o który głównie i zawsze jej chodziło. Pani Eliza Fajnholz, w ogóle mówiła mało, myślała i czuła dobrze, nawet bardzo dobrze, ale stosunki i życie Tomaszowskie zmusiły ją do biernego nieraz zachowania się; — była więc niekiedy oględną, wyniosłą, sztywną, to znów zbyt szczerą, — mówiono, że jest dyplomatką.

Tymczasem panna Antonina wyszła do sąsiedniego pokoju i wróciła niebawem, a położywszy zwitek pargaminowy na stole, wskazała go wdzięcznym ruchem i złośliwym uśmiechem Julijanowi.

— Proszę, niech pan czyta — rzekła, tupiąc przy tem niecierpliwie małą i zgrabną nóżką, — to patent pana Fulgencyjusza Knebel, rekomendowanego panny Detroit. Pan Knebel skończył gimnazyjum w Wrocławiu z odznaczeniem, ma najlepsze referencyje...

Wstrzymując dech, zawiesiła rozmowę, jak gdyby oczekiwała odpowiedzi i tłomaczenia się Julijana.

— Nie do mnie należy rozbieranie specyjalne tej kwestyi — odrzekł Julijan poważnie, prawie smutnie.

— Ośmieliłem się, panno Antonino na zapytanie

pana Fajnholza wyrazić swe zdanie, które łaskawa pani tak surową karci ironiją... Muszę jednak powtórzyć, że należy się zastanowić, nawet bardzo rozważnie, przy wyborze naszych guwernerów i nauczycieli dla dorastającej młodzieży; odpowiedzialność bowiem jest wielka, w obec trudności dawania naszej dziatwie elementarnego wychowania, w obec niepewności i niekonsekwencyi samych rodziców, którzy nie mając sami ugruntowanych zasad, nie wiedzą, czego się w życiu trzymać. Wyradza się ztąd dziwna chwiejność, kierunek nienormalny, który nieraz łamie przyszłość młodzieńca, a co najmniej go wykoleja. — Spojrzał na pana Leona, który, nie przerywając, zdawał się być wsłuchany w te wieszcze słowa, i głową potakiwał na znak pełnej, smutnej, ale jędrnej prawdy, w nich zawartej.

— Wskutek czego taka u nas chwiejność, w poważniejszym już nastroju zapytała, zamyślając się Aniuta.

— Chwiejność, chwiejność, łaskawa pani, bo... bo małpujemy wszystkich i wszystko, naśladujemy francuzów, niemców, anglików, ich błędy i narowy przyswajamy, wplatamy je w przesądy, wierzenia dogmatyczne, a ze splotów tych wychodzi dziwoląg, istna wieża Babel... Niema harmonii, tendencyi, w naszem życiu.

Długo jeszcze na ten temat rozmawiano, Aniuta cichaczem się wymknęła, pan Julijan został sam z panem Fajnholzem. W rezultacie pan Leon postano-

wił przyjąć guwernera izraelitę, co w zupełności zadowolniło Julijana, a może i pochlebiało miłości własnej. Któż bo od takowej jest wolnym?

* * *

Było to w początkach Maja 1888 roku. Wieczór był pogodny, świeże i balsamiczne tchnienie wiosny śpiew ptasząt, miły i jakby zdala dochodzący, a niewyraźny świergot niejako kaprysem rozbawionych zefirów, łączył się w jedną nutę, w jeden hymn odrodzenia, nad którem niebo gwiaździste zasklepia w rubiny i szafiry ozdobny baldachim.

Wieczór też był uroczy, cała niemal przyroda zdawała się w jedną zlewać melodyę, by ów hymn odrodzenia nucić przed Majestatem Wszechstwórcy. I my, wplatając się w tę ogólną harmonię, kornie zginamy kolana, wznosząc modły dziękczynne w poczuciu miłego pokoju, wiary, a naszego kiedyś odrodzenia.

W jednym z takich wieczorów miasteczko Tomaszów-Rawski bardzo było ożywione, powozy przebiegały ulice miasta, mała liczba kolejowych dorożkarzy, w świątecznych szatach nawet rabin miejscowy, co przejechał przez rynek w powozie zaprzężonym w przepyszne rumaki, wszystko to świadczyło o świątecznym nastroju miasta, kupki żydów stojących w ścieśnieniu i opowiadających różne wrażenia, wskazywało, że coś niezwykłego tu się odbywa.

Był to dzień ślubu panny Heloizy Grossmuth z panem Zygmuntem Haller, synem jednego z zamożniejszych fabrykantów sukna w Tomaszowie. Pan

Joachim Haller dorobił się znacznej fortuny, i synowi swemu Zygmuntowi wyliczył posagu sto pięćdziesiąt tysięcy rubli; tyleż prawie wniosła panna Heloiza Grossmuth, tak że młoda para miała w dzień ślubu ćwierć miljona z okładem. Były i tu złośliwe języki, które utrzymywały, że posag był rzeczywiście sto pięćdziesiąt tysięcy, ale złotych, i że nie cała summa została wypłaconą w dzień ślubu, a mała tylko część, resztę rozłożono na raty. Nie mając sposobności i potrzeby sprawdzać obiegających pogłosek, zostawimy ich rozwiązanie „ad calendas graecas“ i wrócimy do naszego opowiadania.

Ślub miał się odbyć w Tomaszowie z powodu, że pan Józef Grossmuth, ojciec panny młodej, był wspólnikiem firmy Joachim Haller i S-ka. Cała rodzina zjechać się miała z Kielc na ten dzień uroczysty, tembardziej, że pan Józef, jako człowiek znany z ugrzecznienia i usług obywatelskich w całej niemal okolicy, szczególniej w rodzinie całej i rodzeństwie sympatyczne i patryjarchalne stanowisko zajmował. Nic więc dziwnego, że pan Leon Fajnholz spowinowacony z Hallerami ofiarował swe salony na tę uroczystość. Ceremonija ślubu odbyć się miała w synagodze, gdzie poczyniono odpowiednie przygotowania, zjechał nawet kantor z chórem i kaznodzieja ze stolicy dla pobłogosławienia młodej parze, a solennego uczczenia tej uroczystości. Niczego nie szczędzono, aby jak najwięcej blasku i świetności rozwinąć, splendorem się popisać. Mniej dbano o zrozumienie się młodej pary, i etyczny do siebie

stosunek. *Łączą się dwa majątki, rubel z rublem, o harmoniję mniejsza, aby się cyfry tylko zgadzały...*

Gdy powozy ruszyły na spotkanie gości, dziwnie jakoś złożyło się, że Antonina jechała w jednym powozie z Julijanem.

Droga do kolei, której dworzec odległy wiorst kilka od miasta, prowadzi przez las gęsty, a piękne równiny. Młoda para siedziała obok siebie, nie wymawiając ani słowa. Zdawało im się, że to podróż wieczna, święta, nieprzerwana. Ona czuła się pewną przy Julijanie, on w błogiej rozkoszy czuł bliskość jej obok siebie, mimowolnym ruchem spojrzeli ku sobie.— Spuściła oczy, niebo, zasiane miryadami gwiaździstych bukietów, wspaniałą ręką Twórcy złotą siecią i purpurą ozdobione firmamenty, pola umajane kobiercami przecudnych form i arabeskami ziół, kwiatków polnych, szelest brzóz i jodeł, balsamiczne wiosny tchnienie, przerywane turkotem migających powozów i lśniących uprzęży, napełniały Aniutę zadumą. Gdy podniosła oczy, cudne i jedwabiste jej rzęsy lśniły jakimś błyskiem uroczym, drżało w nich coś nieodgadnionego, tkliwego; jak pączek, wychylający kielichy, co pragnie się promieniami słońca ożywić, tak bezwiednie, mimowoli spotkała wzrok Julijana ciekawy, smętny, może nie mniej roztargniony, — ale poważny i pewny w siebie utkwiony. Wzroku nie wytrzymała, spuściła więc oczy, oblewając się mocnym szkarłatem.

Noc zbyt piękna. miesiąc za niedyskretny, nie ukrywały wrażenia, które nią mimowoli owładnęło.

— O czem pani tak się zamyśliła — przerywając milczenie zapytał Julijan.

— O czem, o wszystkiem, wielu, bardzo wielu rzeczach, a może i o niczem—westchnęła... Czy chciała się zwierzyć, czy miała zmartwienie jakie, była smutną, żal mu się jej zrobiło. Umilkli oboje. Niewiadomo, jak długo wytrwaliby w tem milczeniu, gdyby nie usłyszeli dzwonka stacyjnego. Niebawem też stanęli przed gmachem stacyjnym. Julijan pomagał jej przy wysiadaniu, — a ona pofrunęła do towarzystwa, tak że zdążyć za nią nie mógł. Zdawało mu się, że jeszcze trzyma jej rączkę, a paluszki jej zadotknięciem zmysły mu kołysały, widział jeszcze cudne jej jedwabiste kędziory przy ramieniu swojem, czuł oddech i przyśpieszone serca bicie, i byłby tak skamieniały pozostał, gdyby nie silne uderzenie po ramieniu, i—jak się masz drogi Julijanie—wymówione przez najlepszego protektora jego pana S. Berkowskiego.

* *

*

Przy ulicy Kwiatowej w pałacyku familijnym państwa Leonów czynione były starannie przygotowania do świetnego, a odpowiedniego przyjęcia pana Józefa, państwa młodych i całego orszaku weselnego, składającego się przeszło ze stu osób.

Sprowadzono pana Kokoczyńskiego z Łodzi, który podjął się zaopatrzyć kuchnię, a napojów i wina poddostatkiem dostarczyły znane piwnice Szykiera, pan Leon bowiem, nie będąc zwolennikiem bachanalij, żadnych zapasów w domu nie przechowywał. Wyborowa orkiestra Lewandowskiego w całym prawie komplecie, sprowadzona z Warszawy, miała dokonać reszty.

Może jeszcze nie byłeś, miły czytelniku, na zabawie poślubnej w małem miasteczku, pozwolisz zatem, o ile mi starczy pamięci i fantazyi, opisać ci ten rodzaj zabawy, bo co do samej ceremonii, szanując tradycyje i wszystkie religije lub zwyczajem uświęcone formy, uchylam w poszanowaniu głowę, uważając za świętokradztwo wdzierać się w uświęcone wiekami drogie pamiątki. Tu tylko o zabawie mowa, o samej zabawie. Będąc, jednym ze szczęśliwych wybrańców między gośćmi proszonymi opiszę ci tylko fakta, zostawując swobodne pole do konkluzyi etycznych, wniosków indywidualnych, do których każda jednostka nieraz przez różne inicyatywy, zbieg okoliczności, pokombinowanie faktów, do dziwnych, sprzecznych i wcale nie identycznych dochodzi konkluzyj.

*   *
*

Te i tym podobne uwagi mimowoliby ci się nasunęły, gdybyś jak ja skazany został na przebycie kil-

ku godzin w błyszczących salonach pana Leona.— Różnorodne, z rozmaitych pierwiastków i żywiołów sklejone niby to wielkie towarzystwo, napuszone twarze, ścieśnione figurki, założone niedbale rączki płci pięknej, wpół zasłonięte wachlarzem zmęczone twarzyczki sapiących tancerek, szepty do ucha, — ekscentryczne znów spacery w zygzaki, imitujące haute volée francuzką, protekcyonalne klepanie po ramieniu młodzieży przez wybitniejszych przemysłowców, różnorodność języków konwersacyjnych całego prawie kontynentu, oraz Wielkiej Brytanii czyli języka Albionu, to charakterystyka ogólna poślubnej uczty u państwa Leonów.

Panna Antonina tańczyła wprawdzie cały wieczór, gdyż nawiasowo mówiąc, nie chciała utracić tak pięknej okazyi pobawienia się. Nie była jednak wesołą,—zdawała się z niecierpliwością kogoś oczekiwać, przy każdem wejściu nowej osoby serce jej mocniej biło. Niespokojna przerwała tańce i mimowoli, bezwiednie, machinalnie weszła do sąsiednich apartamentów, chcąc cokolwiek odpocząć. W przylegającym pokoju grano w tak zwane „oko"*). Dochodziły tylko śmiechy wrzawa i licytacyja, jeszcze 30 rubli, te 30 i jeszcze 50.

— Nieznośni, — mówiła do siebie, zawsze ta sama licytacyja, wszystko sprzedają i wszystko kupują,

---

*) Jest to gra hazardowna i po kilkaset rubli często różnicy jest między graczami zamożniejszymi.

byle za pieniądze, to obmierzłe. Jesteś na wiecznej licytacyi bez początku i końca.

Duszno jej się zrobiło, wybiegła do ogrodu chcąc świeżego powietrza zaczerpnąć, odetchnąć, w duszy jej było ckliwo, w piersi tchu brakło, a głowa jej pałała. Przeszła między klombami kwiatów, zaczerpnęła całą piersią powietrza, schyliła się, zerwała pierwiosnek,—pierwiosnek drogi, bo łezka jak perła w kielichu zadrżała,—i spiesznie wróciła do salonu.

Jakież było jej zdziwienie gdy pierwszą osobą, którą napotkała w salonie, był Julijan.

— Nareszcie, panie Julijanie,— wymówiła bez tchu i urywanym głosem Antonina, podając mu rękę na przywitanie. Żałowała w tej chwili tego słowa. Widziała, — pierwszy raz może w życiu, — grube hafty, złote łańcuchy, koronki jedwabne, i drogie brylanty jakoby skierowane na siebie; patrzała na przesuwające się oschłe i dumne twarze bankierów,—które ironiją i bezmyślną głupotą około niej jak widziadła się przemykały. Zdawało jej się, że wszystkie palce wskazują na czoło jej, gdzie ten wyraz „*nareszcie*“ jest wypiętnowany. Chciała go odcieniem ironii pokryć, — nie mogła; wzrok jej, dusza jej cała, świat marzeń w tym jednym leżał wyrazie, który, promień rozkoszy czy nadziei, przesłał w duszę Julijana, ale twarz jego niezmącona, silna i nieugięta wola była jak z żelaza; zdawał się on żadnej nie zwracać uwagi i nie przywiązywać nic do tego przywitania. Wprawdzie zdawało

jej się przez chwilę, że bystre oczy jego jakby wilgotną powłoką się osłoniły, że drży w nich promyk zachwytu czy upojenia, ale ten znikł w okamgnieniu jak wezbrane a rozigrane fale, co do normalnego a spokojnego wracają łożyska.

Zabawa ciągnęła się dalej, a Aniuta wyrwaną została z tego osłupienia zaproszeniem do walca. Nie uważała nawet z kim tańczy, z całą wdzięcznością podała ramię tancerzowi, który tak w porę się zjawił.

Zabawa w ogóle była bardzo ochoczą—Śmietanka arystokracyi miejscowej w eleganckich pląsach przy dźwiękach muzyki, zdawała się prawie o wszystkiem zapominać, oprócz arogancyi, wyniosłości, i cyfr posagowych tancerek. Każdy był uwzględniany stosownie do położenia finansowego lub innych stosunków, które mniej więcej dałyby się spożytkować. Każdy musiał prowadzić buchalteryję podwójną a*) *Credit* i *Debet* księgować podług ogólnego nastroju maryonetki salonowej. Twarze napuszone, nosy wydęte, u niewiast podbródki wytężone i naprężone niekiedy tylko przypominały przedłużone uszy Midasa, (których i Aleksander Wielki nie mógłby przeciąć, bo odrosłyby większe w przecięciu—końcami silniejszemi a zawilszemi). — Zabawa ciągnęła się długo, Juljan często wybierany był do mazura, lecz Aniuta mimo wielkiej chęci tańczenia z nim,—nie mogła się

---

*) Ma i winien pozycje buchalteryi.

pozbyć jakiegoś uczucia, z którego sobie sprawy zdać nie umiała. Czyżby to był wstyd, czy duma? Ona, pierwsza partya w mieście, najbogatsza panna w okolicy z milijonowym posagiem, w tańcu z takim buchalterkiem, fe, na tę myśl wzdrygała się i na wpół drogi cofała się, biorąc młodego człowieka z prawej lub lewej strony. Przy każdej figurze jakiś magnet wiódł ją w zaczarowane koło, gdzie siedział Julijan.—Gdyby chociaż stał, czekał na nią,— ale siedzi sobie i wybrać, go, nie, nigdy. — W tem postanowieniu szła pędem, i jakby urokiem tylko czy instynktem wiedziona, stanęła cała drżąca przed Julijanem. Proszę, zdołała zaledwie wybełkotać, i już razem szaleli przy świetnych akordach mazura Lewandowskiego. — Co za cudna para! On objął wiotką jej kibić, — ona zarumieniona czuła się przy nim szczęśliwą, jakaś błogość nią owładnęła, ta sama błogość — co w ciszy leśnej, — ta sama w duszy pogoda — w sercu rozkosz — w spojrzeniach radość — w złączeniu jedność. Julijan i tu zachował krew zimną, odtańczywszy figurę bez przesady najmniejszej, tancerkę na miejsce odprowadził, zimnym i konwencyjonalnym dziękując ukłonem.

— Dyplomata, szepnęła, a może, może — dodała smutniej,—chciała jeszcze coś powiedzieć, ale przerwano jej zaproszeniem do tańca. Następną figurę miała tańczyć z Zygfrydem Stahlberg.

— Przepraszam, zmęczona jestem i dziś więcej nie tańczę,—odrzekła jakby od niechcenia, dziwnie też była wzruszoną, oczy jej pałały, pierś podnosiła

się gwałtownie, podeszła do ojca którego z przymileniem wzięła pod rękę i wyprowadziła do sąsiednich salonów.

Nie omyliło ją przeczucie, tu Julijan gorąco czegoś dowodził w gronie ludzi poważniejszych, pan Leon natychmiast go zawołał, przed powagą bowiem pana Leona wszystko ustępowało, była więc znowu obok niego, rozmowa toczyła się o różnych rzeczach, to obojętna, to znów ożywiona, w trakcie rozmowy upuściła ów pierwiosnek, i zdawała się nie uważać, jak go Julijan prędko podniósł, oczy jej iskrzyły się od zadowolenia, ale pochmurniała nagle, gdy Julijan kwiatek z lekkim uśmiechem jej podając rzekł:

— Zguba, panno Antonino, wprawdzie kwiatek tylko, ale zawsze zguba, zwracam, proszę...

— Skrupulatność zbyteczna—odrzekła przygryzając wargi, — tak maleńki kwiatek.

— Także powinien być własnością, a przyswojenie...

— Znowu perory, — przerwała niby złośliwie,— tą razą może pan zatrzymać ten kwiatek. Rozmowa ta była jej przykrą, chciała się pozbyć pierwiosnku.

Spojrzał na nią, w głosie drżało pewne wzruszenie, które pokrywała powłoka ostentacyi.

— Stali sami około oranżeryi, pan Leon przeszedł do innego kółka, ona była cokolwiek zmięszana.

— Czy mam to uważać za grzeczność, za intrygę, czy za podarunek? szepnął jej prawie nad samem uchem.

— Wymagasz pan zbyt wiele...

— W dwuznacznikach nic nie przyjmuję...

— Inaczej ofiarować nie mogę, nie chcę... wyrwała kwiatek z ręki i małemi zdruzgotała nóżkami. Tak zginął ten ołzawiony, biedny pierwiosnek, pierwszy zadatek miłości, i złotej idylli kapryśnej, samowolnej dziewicy.

* *

*

W kilka dni po opisywanych wypadkach i balu poślubnym, — Aniuta mocno zachorowała. — Po kilka razy dziennie lekarze odbywali konsylium, — a gorączka tak była uporczywa, że żadnej prawie nadziei nie było utrzymania jej przy życiu. — Pan Fajnholz ręce załamywał w okropnej rozpaczy, Aniuta była jego ulubienicą. Również matka, rodzina cała, personel biurowy, a nawet ludzie fabryczni, prawdziwą czcią dla Aniuty byli przejęci, ona bowiem mimo pewnej samowoli i roztrzepania serce miała złote, prawdziwym aniołem była dla czeladzi i służby fabrycznej. Często odwiedzała ona nędzę, ratunek i posiłek nosząc. Niejedna łza biednej wdowy, niejedno westchnienie sieroce szło w cichej a skromnej modlitwie przed Tron Wszechstwórcy, błagając o jej wyzdrowienie. — Ciemiężcy i wyzyskiwacze roboty małoletnich może nie zastanowili się nad doniosłością skargi takiej nędzy wyzyski-

wanej, ani o sprawiedliwości Bożej która ich dosięgnąć może...—Idą naprzód w wielkiej obławie grosza na nic nie bacząc, niczego się nie dopytując, idą bez tchu. — Czy po tej drodze znajdą kilku nieszczęśliwych, o to mniejsza, aby fabrykacya ich nie ucierpiała, i basta.

Po miesiącu zaledwie lekarze jednogłośnie zaopinijowali, że nastąpiło przesilenie, a chora znajduje się na drodze rekonwalescencyi.

Radość była ogólna, wszystkie twarze rozjaśniały się z zadowoleniem, istniał tedy węzeł tajemny serdeczny między tą klasą roboczą a samowolną i lekkomyślną Aniutą. To miłosierdzie i miłość jednoczyła ich, to wdzięczność i uznanie kojarzyły.

Wracała też pomału do zdrowia, była jednak ciągle smutną, zgnębioną, a lekarze, obawiając się recydywy, ostrzegali ojca, że musi ją dręczyć jakiś tajemny niepokój, o czem oni sprawy zdać nie mogą, nie znając psychicznie zawiązku tej anormalnej choroby. Ojciec przesiadywał prawie ciągle przy jej łożu i powziął stałe postanowienie wybadania jej.

— Aniuta moja, — rzekł do niej pieszczotliwym i chmurnym głosem—dziecko moje złote, co ci jest, jesteś ciągle tak smutną, tak ponurą, czy masz zmartwienie jakie, a może, może, schylił się prawie do jej ucha, może tęsknisz za kim? no, no...

Aniuta słuchała napozór obojętnie przy wyrazie tylko tęsknić prawie się na łóżku podniosła, i rzekła gwałtownie, o wszystkiem zapominając...

— Tęsknić, tateczko złoty, tęsknić, — nigdy, ja nigdy jeszcze nie tęskniłam... nie tęsknię... chyba po kłótnie i sprzeczki z tym niegodziwcem Julijanem, on taki brzydki, taki nieznośny, on tak straszny... objęła szyję ojca płakała, w konwulsyi bełkocząc ten niecpoń, tatku, ten... ja jego tak.. niedokończyła, łzy tamowały jej dalszą mowę.

— Obtarł jej łzy z oczu, ucałował w głowę, żal mu się jej zrobiło, zamyślił się.

— No zobaczymy, rzekł do niej, uspokój się Aniutko! co będzie można, zrobimy. No, no, łezki otrzeć, głowę do góry! pogroził jej palcem i zadowolony wyszedł do sąsiednich apartamentów, graniczących z kantorem fabrycznym.

II.

Na drodze, wiodącej z Buska do Nowego miasta Korczyna, (gdzie Nida wpada do Wisły), nie dojeżdżając do wsi Zbludowic wązki trakt prowadzi do wioski Owczary. Majątek ten po Fibichu i Wałoszewskim objął Szmerel Berkholz, kupiec bawełny z Działoszyc.

Wioska, ułożona na równinie, zawierała 14 włók ziemi ornej i 6 włók lasu. Gleba czarnoziem lub glina. Pszenica z Owczar znaną była na całą okolicę. Lasy, przy racyonalnem gospodarstwie leśnem nie eksploatowane, — dostarczały drzewa na budowę i na opał do Wiślicy, Buska i Pińczowa, — a zboże, gdy korzystnie na miejscu sprzedać nie można było, spławiano tratwami i berlinkami do Gdańska, Elbląga lub Torunia, gdzie wygodniej sprzedawano, a dla uniknienia nieszczęścia przy spławie, takowe zawsze było ubezpieczane według wykazów i rejestrów stosownych. Sąsiedzi zazdrościli Szmerlowi Berkholz kupna tego majątku tembardziej, że warunki były przystępne.

Dworek obszerny i wygodny z przylegającym ogrodem warzywnym i owocowym, nieopodal budynek służący za mieszkanie ekonoma i pisarza, a wozownie i stajnie, stodoła i spichrze kompletowały się w formie czworoboku folwarcznego. Za zabudowaniami dworskiemi wznosił się budynek prawie nowy z przylegającym ogrodem, był to browar parowy najnowszego systemu i dystylarnia na wysoką skalę.

Zabudowania wiejskie o kilka stai oddalone były od dworskich.

Szmerel Berkholz utrzymywał do współki ze szwagrem swoim woły na wypas, które spożytkowały słód i inne wydzieliny z browaru. Wypasionych wysyłali całemi partyjami do Warszawy, Łodzi, Lublina, a nawet do Wiednia, Kolonii i Paryża. Największe partyje szły do Kolonii, gdzie Rafael Laufkind, daleki kuzyn Berkholzowej, był jednym z największych handlarzy nad Renem i miał filije swoje w Szczecinie i Akwizgranie.

Szmerel Berkholz był synem biednego handlarza z pod Kamyszowa, w Działoszyckiem, (właściwie okolice te zaliczają do Szkalbmierskiego) Ożeniwszy się w 15 roku życia z Esterką Żabner, osiedlił się w Działoszycach, na przedmieściu, prowadzącem do kolonii Łabędzie, w malutkim i słupami podpartym domku, należącym do Dawida Preyss, którego z powodu narośli nad prawem okiem w kształcie podkówki wygiętej nazywano Dawid Bajgel czyli obwarzanek*). Tu

*) Przydomki takie do dziś dnia, nosi prawie każdy mieszkaniec małego miasteczka.

Szmerel zaczął handlować po wsiach, co dzień przy największych upałach, przy słocie, przy mrozach trzeszczących i deszczu ulewnym, z workiem na plecach obchodził wioski sąsiednie, przynosząc to skórki królików, to ziarna trochę, kilka kop jaj i t. p. Cały dzień służył mu za strawę popłonek, (rodzaj ciasta razowego), który kupił na rynku u Nachy Pieczarkowej, mającej już blizko od $\frac{3}{4}$ wieku stragan swój obok Ratusza. Popłonki Nachy cieszyły się wzięciem nawet u kmieci i mieszczan, dla swej taniości i smaku, który stara umiała im nadać. Nacha opowiadała, że nawet sierżanci Napoleona, gdy szli do Moskwy, temi się popłonkami delektowali. Jednem słowem nasz Szmerel kontentując się byle czem, rósł coraz bardziej w pierze, zebrał sobie kilka set złotych: i zaczął interes zbożowy i proceder ten prowadził w sposób następujący. Oczekiwał z żoną na chłopów, przyjeżdżających do miasta po sprawunki, i wiozących groch, fasolę, kapustę, żyto, lub jęczmień omłócony, to znów co z drobiu domowego, czasem cielę niedokarmione, źrebię młode, jaja, nasienia, warzywa, pługi, brony i radła zużyte, chomąta, lejce i postronki. Wszystko to skupowali oni w osobnym trzymając pokoiku do najbliższego targu.

To też gdybym cię miły czytelniku (ma się rozumieć za twojem łaskawem pozwoleniem) wprowadził do owej wystawy przyrodniczej, mógłbyś się zapoznać z płodami i całym mechanizmem gospodarstwa rolniczego.

Zdziwiła by cię może ta mięszanina koncertowa: gęganie gęsi, pianie kogutów, beczenie owieczki samotnej, żałosne skomlenie odstawionego od piersi cielęcia, związanego około łóżka na worku soli. Zdziwiłbyś się powtarzam, może zamyślił, ramionami wzruszył, uśmiechnął się ironicznie, a może... może... Dalibóg trudno przeniknąć charakter wrażenia któreby się w takiej chwili zrodzić mogło.

To wszakże pewna, że Szmerlowi dobrze się działo, co Wtorek wszystkie te przedmioty wywozil na targ do Kielc gdzie dobrze i z korzyścią sprzedawszy takowe, wracał w Srodę nadedniem i był już na swojem stanowisku, gdzie *de capite* czynność swą rozpoczynał. W krótkim też czasie dorobił się majątku, wystawił sobie ogromny dom dwupiętrowy i śpichrze w Działoszycach, kupował całemi partyjami zboże u obywateli, całe zapasy wełny, które przed strzyżeniem jeszcze zakontraktował, a gdy mu się co raz bardziej szczęściło, kupił wygodnie i prawie za bezcen dobra Owczary, w których prowadził interes wyżej opisywany. Musimy w dodatku nadmienić, że i z imieniem i nazwiskiem obecnego dziedzica zaszła także metamorfoza nielada. Biedny, wzgardzony i popychany Szmerel, gdy w pierze obrastał i niejednemu był potrzebnym został upiększony przydomkiem Reb Szmerel a nawet po kilku latach gdy bogaty Szmerel wybrany został na przewodniczącego gminy Działoszyckiej, otrzymał przydomek Reb Szmerele. On zaś sam, gdy mu i ten przydo-

mek zdrobniały wraz z tytułem Reb*) nie licował, wykreślił na podpisach całe swe imię z takeim wymawiane przymileniem, i podpisywał się po prostu S. Berkholz. Pomału a stopniowo znikały po każdym jego powrocie z zagranicy, to szlafmyca, to pejsy, to kapota skracała się; nawet zamiast butów zaczął nosić kamasze, a przed objęciem dóbr Owczary zmienił i końcowiznę swego nazwiska na Berkowski.

Obecny też dziedzic Owczar pan S. Berkowski, co do swojego wyglądu i oznak zewnętrznych, ze swą miną i obejściem dość przyzwoitem nie wiele przypominał naszego potulnego a pokornego Szmerla Berkholza.

Czy i w jego wnętrzu odbyła się jaka zmiana? Czy w duszy nowe się zrodziły ideały, czy świat który go ucywilizował choć pozornie,—zdołał wszczepić mu lymfę życia, a arterye jego napełnił krążeniem mniej zjadliwych materyi? czy duszę ożywił tchnieniem wiary i nadziei, a serce miłością i współczuciem? Czy stąpając po różnych ścieżkach w wędrówce życia, ssał z rogu doświadczenia pokarm ożywczy dla ducha, czy też wyziewy tylko trawił,—które i otoczenie jego nowe, miało przejąć? —okaże się to w dalszym ciągu naszego opowiadania.

* *

*

*) Reb znaczy pan, władca, starszy, to samo co francuzkie *de*, lub niemieckie *von*.

Wracając do naszej bohaterki widzimy ją po kilku dniach zupełnie zdrową. Twarz jej prawdziwem jaśnieje szczęściem i zadowoleniem. Julijan został przyjęty do kantoru pana Fajnholza, jako szef biura, a stanowisko to śmiało nadawało mu prawo do pierwszych partyj w mieście. Tembardziej, że osobiste zdolności Julijana znane były powszechnie i wstęp mu czyniły do wszystkich salonów, gdzie umiał taktem swym, a wytrawną i niewyszukaną grzecznością jednać serca wszystkich, i na poważanie a rzetelny zasłużyć szacunek.—I na tem stanowisku Julijan nie próżnował, z założonemi rękami nie przyjął tego daru Bożego, ale dniem i nocą mozolnie pracował, aby obeznać się z manipulacyą nowego i tak rozgałęzionego interesu, a zrozumiawszy go, silną dłonią i energią ujął ster, właściwy a racyonalny nadając administracyi całej kierunek.

Ktoby dziś wszedł do zakładów pana Leona tegoby owionęła owa grzeczna nie imponująca, lecz poważna uprzejmość. Wskażą ci właściwego buchaltera lub urzędnika, który cię załatwi, a po załatwieniu stanowczym, choć grzecznym ukłonem wskaże, że interes załatwiony, i do prywatnych, a z interesem nic wspólnego nie mających dowodzeń i paplaniny, niema tu ani czasu ani miejsca. Julijan dzielnym był administratorem, cały też personel, nie wyjmując samego właściciela odnosił się do niego z tem uznaniem, jakiem umysły dzielne umieją natchnąć otoczenie, mimowoli, bezwiednie, bez najmniejszej chęci błyszczenia lub imponowania. Słowem wieje tu atmosferą legalną, nic

przesadzonego, zbytecznego. Szło mu o interes o treść jego, dobrobyt firmy i rezultaty. To też o tem myślał, jakby wszystko najprościej zorganizować, działał z planem z góry nakreślonym, a sprężystością dokonał reszty.

Aniuta nasza, wróciła zupełnie do zdrowia. Wypiękniała jeszcze, pobladła wprawdzie trochę, a lice zarumienione i osłonięte powłoką jakby marzącą, miały wyraz tęskny, mniej czerstwy, ale za to więcej myślący. Wzrok jej jakby zwilgotniał, nabrał jakiegoś dziwnego blasku, i pod urokiem tajemnej siły pięknym jaśniał wyrazem.

Wszystko się tu zmieniło dziwnie, do niepoznania

Antonina dumną była z wyznania jakie przed swym ojcem uczyniła nie była jednak zadowoloną tem zaparciem się Juljana, który oddany interesowi rzadko odrywał się od pracy,a jeżeli przychodził na obiady zapraszane lub na herbatę wieczorem, to bawił krótko' tak króciutko, że go nawet Aniuta nie miała czasu zobaczyć. A tęskniła do rozmowy, do zwierzenia się, serce jej przepełnione rwało się do niego jak motyl do łodyżki a on wciąż był taki uprzejmy taki grzeczny, ale tylko grzeczny, — i nic więcej... Dlaczego on taki dziwny... tak obojętny.... brzydki... on bardzo brzydki.... taki nicpoń, a ja, jego... nienawidzę, nienawidzę go, — taka zwykle następowała konkluzyja monologów i dyjalogów ze swym ojczulkiem, który od czasu jej choroby, jedynym był powiernikiem jej i doradcą.

* *
*

Gdy postać Julijana zaczyna przybierać wyraźniejsze zarysy i poważniejszy zakrój w naszem opowiadaniu, nie od rzeczy będzie, cokolwiek bliżej się z nim zapoznać. Julijan Bendziński swej młodości i lat niemowlęcych wcale sobie nie przypominał, ani też pieszczot właściwych wiekowi dziecinnemu, świat dziecięcy zostawił mu tylko mdłe i nieprzyjazne wspomnienia, które się systematycznie powiązać nie dawały. O ile przypominał sobie, sypiał zawsze na zapiecku u piekarza, — podawał chłopcom i czeladziom ciasto do pieczenia, obnosił pieczywo po domach, boso i w podartych łachmanach z furażerką na bakier, zakrywającą część zasmolonej ogorzałej twarzy i kędzieżawe włosy co skutkiem niechlujstwa jakby w kołtuny urosły. Na święta Wielkanocne pomagał dziurkować pieczywo świąteczne, wodę podawał, statki zmywał, a do tej ostatniej czynności największą zdawał się mieć wprawę. O jego pochodzeniu różne krążyły wieści i wersyje: jedni utrzymywali, że Awrum Olejarz, biedny piekarz, znalazł go jako niemowlę w sąsiednim ogródku u Szabsi, jako dziecko omdlałe i na wpół martwe, a obok niego woreczek z samemi dukatami, a porozumiawszy się z rabinem miejscowym, pieniądze złożył w kassie kahału, a dziecko przyjął na wychowanie, jako dar Boży. Drudzy znów utrzymywali, że gdy Mordka, syn Awruma wracał z jarmarku na Baranie*),

*) Baran komora celna niedaleko Krakowa przy granicy Austryjackiej.

na Proszowice, Trzy Krzyże i Bendzin, właściwie w narzeczu gminnym Będziok, znalazł na rozstajnej drodze niedaleko karczemki na wpół omdlałe dziecko, które litościwy Mordka wziął na wóz, napił się gorzałki dla otuchy, odmówił trzy razy nabożeństwo, „Szema Izrael“, a niemowlę ze sobą przywiózł. Stary zaś Fajwel Bursztyn, człowiek stateczny i prawy, paląc fajkę z ogromnym bursztynem i gęstą a rudawą głaskając brodę, opowiadał, że Awrum Olejarz wychowuje dziecko po swoim biednym bracie, który, wyemigrowawszy przed kilkunastu laty do Tarnowa, gdy mu się tam źle wiodło, wyjechał do Ameryki, i przepadł bez wieści, żona jego umarła, a Josel osierocony, dostał się cudem do Olejarza na wychowanie.—To wszakże jest pewnem, że Josel wychował się i wzrósł u piekarza Awruma, który go prawie za własne dziecko uważał. Trwało to lat 12, gdy niespodzianie nagła zaszła zmiana w życiu biednej sieroty.—Gdy bowiem pan Berkowski wyprawił zrękowiny staszej córki, będąc za interesami w Wiślicy i słysząc różne wersye o znalezionym chłopcu, skorzystać pragnął z pretekstu obstalowania ciast, i wstąpił do Awruma Olejarza, a gdy zasmolony Josel w obszarpanej kapotce i koślawym kaszkiecie o urwanym daszku „in persona grata“ mu się przedstawił, gdy przytem zbyt energicznie plecami poruszał, Berkowski człowiek z natury litościwy, kupił mu ubranko, wziął do łaźni, wyekwipował od stóp do głowy, podobno jeszcze Olejarzowi dał parę set złotych a chłopca zabrał ze sobą do Owczar. To dopiero świeże dało

pole do różnych domysłów. Gabowie*) i starsi w gminie opowiadali sobie chychotem jakieś dawne przypomnienia o Berkowskim i różnym przypuszczeniom nie było końca.

Tymczasem w życiu małego obdartusa zaszedł zwrot niespodziewany. Chłopiec z natury sprytny, wzięty do małych posług w kantorze browaru, zaczął od zamiatania kantoru, czyszczenia butów i podobnych czynności. Gdy zaś Edmund starszy syn Berkowskiego wróciwszy z uniwersytetu na wakacye zaczął w wolnych chwilach uczyć Josla czytać, dzieciak o mało nie rozpłynął się z radości. W naukach postępy robił widoczne, po kilku latach nauczył się buchalteryi, korespondencyi, a gdy skończył lat 20, postarał mu się o posadę za osobistem poręczeniem u szwagra swego który w Tomaszowie miał interes bankierski pod firmą Joachim Haller i S-ka. Na tej to posadzie, żyjąc skromnie, za oszczędzone pieniądze brał lekcye, kupował książki, pracował i kształcił się, aż został prokurentem wspomnianej firmy. Reszta to jest przejście jego do kantoru Fajnholzów znane wam jest, moje nadobne czytelniczki.

Dla zupełnego zaspokojenia waszej ciekawości wypada dodać, że w opisywanych wypadkach Julijan miał lat 28, mężczyzna wysokiego wzrostu, bar-

---

*) W każdej gminie religijnej są gabowie, zwykle w liczbie trzech, wybierani do zarządzania sprawami gminy.

czysty rysów nieregularnych, prawie brzydkich, włosów kędzierżawych, twarzy ogorzałej, śniadawej, był raczej szpetnym niż pięknym mężczyzną. Ale ciągła praca nad sobą, zrozumienie swego obowiązku, energija i siła woli, rozlane w całej jego postaci, dodawały mu dziwnego uroku i powagi. Wzrok bystry i pewny siebie zdawał się być hamulcem namiętności, które ujarzmione siłą woli pierzchły gdzieś daleko, — wyrywszy spokój niezmącony. który widniał w jego spojrzeniu siłą życia i konsekwencyją czynu.

Szedł on w walce o byt z wzniesionym czołem borykał się z przeciwnościami, mając przed sobą cel wytknięty to jest osiągnięcie samodzielności i samowiedzy.

* *

*

Kilka już miesięcy pan Julijan pracował u Fajnholzów i nie wiele zmieniło się w położeniu rzeczy. Stosunek jego do rodziny Fajnholzów powoli zluźniał, nawet i dobrotliwy pan Leon uważniej i jakby z pewnem jakiemś wyczekiwaniem przyjmował urzędowe raporta od Julijana. Pani Fajnholz uprzejmych zaproszeń zaniechała i w ogóle wywiązała się mimowoli i niepostrzeżenie jakaś sztywność, która nie uszła baczności Julijana. Gdy z jednej strony manewry skierowane były na zniżenie barometru i ochłodzenie stosunku, z drugiej strony Aniutę bawiono, ubierano, wożono za granicę, była nawet parę tygodni w Ems, i wróciła zdrowa, czerstwa, trzeźwa, a wszelkich po-

zbawiona iluzyj, miała w twarzy wyraz pewności, w oczach wyzywającą ironiję i wzgardę dla wszystkiego co ją otaczało, w całem zaś jestestwie jej widniało jakieś rozdrażnienie nerwowe, roznamiętnienie i dziwna jakaś czułostkowość. Stosunek jej do Julijana również dziwnie się zmienił. Głupią byłam, naiwną, bardzo naiwną papeczko, mawiała pieszcząc i całując ojczulka, tylko dobroć twa i mądrość ocaliły mnie. Wszak wybaczysz mi zmartwienia i niepokoje jakie miałeś z mego powodu.

— Nie rozumiem—rzekł pan Leon—udając zdziwionego.

— O jaki papa dobry, tatko bardzo dobry, bo nie chce o nim wspominać, o nim... ha! ha! ha! roześmiała się prawie dziko, ale jak dalekiem jest słońce od toni morza, prawda od kłamstwa, dzień jasny od ciemnej nocy, tak jest, tak, tateczko tak daleką myśl moja i serce od niego. Dzieciństwo! fantazya!.. znowu się roześmiała. Śmiech ten dziwny, widać nie podobał się panu Leonowi, spojrzał na nią, jak doktor, który bada puls swego pacyenta, z jego rysów widać było niezadowolenie. Zachmurzył się, westchnął zaczął mówić o czem innem.

Julijan zdawał się na to wszystko najmniejszej nie zwracać uwagi, czynności swoje wykonywał z tą samą skrupulatnością, wszystkiemi interesami umiejętnie i szczęśliwie kierował. Wszystkoby szło po tej drodze utartej, gdyby niespodziewana okoliczność nagle nie przyczyniła się do zmiany sytuacyi.

III.

Nie wszystko złoto co się świeci,
Nie wiecznie więdnieje zieloność.

Jak już wspominaliśmy Zygfryd Stahlberg częstym był gościem u państwa Leonów, mając interes bankierski na wysoką skalę i ojca milionera, będąc przystojnym blondynem w złotych binoklach i bródką á la Mierzwiński, z kokosową laseczką w ręku o posrebrzanej gałce był pierwszą partyą w mieście. Sam nie mając żadnego wykształcenia, wyuczył się manipulacyi bankierskich w interesie ojca, paplał trochę po francusku i niemiecku zgrabnie się kłaniał, pięknie tańczył, zawsze się uśmiechał, bo był ze siebie kontent. Płeć piękną hurtem adorował i wszystkim jednakowe i te same wyuczone dusery prawił. Zwykle zaczynały się*) „O vous! qui que vous soyez mortelle ou déesse“ urywek z Telemaka, a że mamunie dorosłych, posażnych panien w formalną go

*) O pani, ktokolwiek jesteś, śmiertelną czy bogini...

obławę wzięły, nic dziwnego, że był prawdziwym Lowelasem w całem mieście. Uczennice panny Detroit (która, nawiasowo mówiąc, była egzaltowaną waryatką), pisywały ody na cześć pięknego heroicznego i bogatego Zygfryda.

Bo też pyszny przedstawiał widok, szczególniej gdy w długich butach myśliwskich, paryzkiej furażerce, kurtce ciemnej, zielonemi przeplatanej centkami *à l' anglais* ze szpicrutą w ręku, wyjeżdżał po godzinach biurowych konno trzymając się dla pewności oburącz za siodło, i chwytając się od czasu do czasu za głowę, czy mu kaszkiet nie zleciał.

Złośliwi opowiadali różne dykteryjki o nieszczęśliwych szczegółach jego sportu. Podobno niegodziwy i nieujeżdżony rumak, którego w imitacyi sportsmenów i dla oryginalności Harybdą nazwał, często gęsto mu koziołki i gimnastykę zwrotną urządzał „par arrière" a później przez pewien czas nasz bohater w towarzystwach się nie pokazywał, gdy zaś pewnego razu przy tak niefortunnym spadnięciu lewe ramię sobie zdruzgotał, nie chcąc narazić *przez skromność* sławy swej Harybdy, mówił że dostał cięcie w lewe ramię w pojedynku.

W sprawie jakiejś honorowej, której treści uporczywie zamilczał, wyzwany został na pojedynek. Sześć razy napastnicy mierzyli się ze sobą z różnem szczęściem, za siódmym razem los poszczęścił przeciwnikowi i lewe mu ramię pałaszem zdruzgotał. Miał to być jakiś wysoki dygnitarz francuzki margrabia de ...., nazwisko pozostało tajemnicą. Zygfryd dał bo-

wiem słowo honoru takowe zachować w milczeniu. Wszystkiemu była winna biedna a historyczna Harybda... Nic dziwnego, że posiadając przymioty tak wielkie, będąc przytem nader skromnym, opowiadania swych bohaterskich czynów zwykł wznawiać tylko na usilne i zdwojone nalegania płci ciekawej. Otóż Zygfryd obecnie był nieodstępnym Aniuty towarzyszem. Pisywał jej ody (miał w domu zbiór poezji Or-ota, które żywcem jego sekretarz kopijował) opisując swe czyny bohaterskie; wzdychał, bukiety przysyłał, myślał nawet o urządzeniu serenady, ale w sławetnem Tomaszowie, prócz katarynki wędrującej innych instrumentów na lekarstwo nie znajdziesz. Jednem słowem postać urocza Zygfryda nieustannie wychodziła w nowej formie, bądź to w podpisach albumów bądź na rękojeści wachlarza panny Antoniny, bądź też na drzwiach, jednem słowem manija podpisywania się stała się jedną z najgłówniejszych zalet pana Stahlberga.

Aniuta wzdychała ciężko, ale przyjmowała go, i do tego doszło (tak przynajmniej powszechnie mówiono) że 26 Lipca, jako w dzień imienin Aniuty które przypadały na sobotę, miały się odbyć formalne zaręczyny pana Zygfryda Stahlberga z naszą Aniutą. Najbliżsi przyjaciele domyślali się że musiało coś zajść ważnego w jego życiu, nie wyjeżdżał bowiem konno, widocznie nie miał chęci w ostatnich czasach ryzykować drogich członków dla tak niefortunnego, aczkolwiek w historji Tomaszowa tyle upamiętnionego sportu.

Wszystko szykowało się do świetnego przyjęcia w nadchodzącą sobotę. Zygfryd, tak obfity w pomysły, osobiście program ułożył, karty zaręczyn obstalował w drukarni Dziennika Łódzkiego podług najnowszych wymagań i najładniejszego a europejskiego fasonu. Jako podarunek kupił u najlepszego jubilera, garnitur olśniewająco piękny za 23,400 rubli*) i inne piękne i gustowne podarunki. W czwartek, poprzedzający sobotę zaręczyn, był wieczór poufny u pana Fajnholza, na który wyjątkowo zaproszony został i pan Julijan. Ten ostatni w najlepszym był humorze, był niewyczerpany w pomysłach, bawił wszystkich. Wieczór w ogóle przepędzono bardzo przyjemnie. Zygfryd śnił o przyszłości, widział się już po ślubie w Wenecyi... w cudnej, błękitnej i purpurem usłanej gondoli ze swą ukochaną, gdzie go wody spokojne kołyszą, dochodzi go szmer wioseł i drogi szczebiot ukochanej. Był w entuzyazmie. Deklamował ustępy z Byrona, podziwiał statuę heroicznego Rzymu, widział się w Genui, Neapolu i Paryżu, ten ostatni szczególniej zdawał się go pociągać.

Aniuta słuchała go w roztargnieniu....

— Co pan Julijan myśli o podróżach? — ocknęła się z zadumy i zapytała, wlepiając swe oczy w Julijana, jakby szukając czego, jakby go badając...

— Rzecz względna — odrzekł zapytany, niezmieszany i wytrzymując jej spojrzenie—podróż nieraz na-

---

*) Autentyczne.

ucza, a często bardzo często marnotrawi czas i pieniądze. W tych dniach byłem w jednym domu, gdy w nocy nagle wpadły dwie pszczoły wędrowne, nie mogąc trafić do ula, wpadły do pokoju szumiąc i brzęcząc; nie mało było przestrachu, pani domu złapała miotłę, mężulek szczotkę do zamiatania, rozpoczęła się gonitwa, chcieli przez okno wyrugować nieproszonych gości... chcieli...

— No i co się stało — zapytała, widocznie blednięjąc Aniuta.

— Jedna biedna i wątła pszczoła bez tchu upadła i zmarniała.

— A druga—bez tchu zapytała, oglądając się niespokojnie.

— No druga — dodał powoli — zdołała umknąć przez mały otwór w oknie, ale... ale dodał, jakby zatopiony w danym obrazku, z złamanemi skrzydłami i żądłem uszkodzonem. Frunęła.

Jest to mały fakt, ale autentyczny, tak nasi panowie zamiast miód do własnych składać ulòw, pędzą w obce zagony, wycierają kąty cudze, zostawując mienie, dobrobyt, a nieraz zdrowie i szczęście całego życia.

— Jak on mówi—pomyślała Aniuta westchnąwszy.

— Jedzie za granicę, panie Będziński, kto ma pieniądze i fantazye niektóre, kto pozwolić sobie może.

— Pan Stahlberg wybaczy, że tę kwestyę uważam za wyczerpaną. Skłonił się lekko i odwrócił

do swego sąsiada, z którym żywą zdawał się wieść dyskussyę. Tego dnia bardzo późno towarzystwo się rozeszło. Julijan tylko wcześniej wyszedł, tłómacząc się, że musi być rano przy pracy.

Przyszedłszy do domu, całą noc oka zmrużyć nie mógł, czytał, znowu wstał, zapalił cygaro, rzucił je. Wyszedł do ogrodu, zaczerpnął pełną piersią powietrza, ciężko westchnął, długo spacerował po ciemnych alejach ogrodu, przechadzał się, przystanął, znów chodził, nareszcie znużony wrócił do siebie lecz powiek na chwilę nie był w stanie skleić. Całą prawie noc tak się męczył, żadna skarga z ust jego nie wyszła, cierpiał straszliwie i nazajutrz bardzo blado wyglądał.

W piątek zaproszony był do Hallerów na kolacyę, cały wieczór był ponury, smutny i strasznie cierpiący. Pani Haller prosiła go, aby co zagrał, grał bowiem bardzo pięknie na fortepijanie, nie dał się długo prosić, w chwilę później akompaniując sam sobie szaloną a oryginalną melodją, silnym i dźwięcznym głosem zanucił:

Gdym w duszy pieścił obraz twój
Cudnych warkoczy zwoje smętne źrenice twe
Znęcony czarem tego uroku
W świat ideału wznoszę się.

Olśniony zbytkiem szczęścia,
Zachwycony w tym upojeniu —
Nektar Olimpu zmysłów mych nie sięga,
Wstrząśnień namiętnych, nie wzbudza nie.

Ideałem duszy serce me pała
Polotem myśli do Tronu Stwórcy wznosi się
W krainę wiecznej zieloności
W przestworzu nieskończonem szczęścia szukać
[śmie.

Uwolniony z kajdan namiętnych tchnień
Wzniesiony godności błyskiem
Świętym żarem wzniosłych serc
Uciszyłem namiętne drgnienia me

Oczarowany twem otoczeniem,—
Olśniony urokiem twym
Niepomnę cierni przyszłości
Żyjąc wspomnieniem twem.

W burzy życia, wirze otchłani
Chwilach znużenia zwątpienia chwili
Urocza postać twa, szlachetne twe westchnienia
Tajemnem tchnieniem, ożywiają mnie.

Tu dodał głosem prawie zamierającym:

I bez nadziei uragan we mnie drga
Jeszcze cudny blask oczu twych smętnem wej-
[rzeniem
Szepczą mi tajemnych marzeń słodycze
A rozpaczliwej nadziei dają kres.

A wysilając resztę sił dodał:

Żegnaj mi słodki, złoty cieniu
Żegnaj, bądź szczęśliwa, a nie opuszczaj mnie

Od rozpaczy strzeż mnie strzeż
Od zwątpienia i rozpaczy strzeż*).

Ostatni akord przebrzmiał Julijan zdawał się jeszcze słuchać, jakby dusza jego rozwiała się w tej melodyi i z ostatnim uleciała akordem.

Nie widział, jak Aniuta, która przez ten czas przyszła do Hallerów, stała cała drżąca we drzwiach i z osłupieniem słuchała tego śpiewu uroczego. Bezwiednie łzy jej się z oczu lały strumieniem, doszła do Julijana i podając mu obie ręce: „Dziękuję“ rzekła. Ale żyję jeszcze, chwała Bogu, i nie mogę do Stahlberga należyć, ja i bez twego śpiewu nie mogłabym mu dać swego słowa, bo ja... ja tylko ciebie kocham“. Aniuta moja złota! zdołał zaledwie wybełkotać i ku zdziwieniu obojga małżonków Hallerów, trzymali się w objęciach, ona zaś tuliła się jak dziecko do jego piersi.

— Ja dużo cierpiałam, Julijanie, o mało zmysłów nie postradałam, ale mam tego dosyć, obroń mnie jako twą przyjaciółkę, twą narzeczonę!

Trudno opisać zachwyt dwojga kochanków, każdy to jasno zrozumie. Zdziwieni Hallerowie uspokoili się powoli, młodzi zyskawszy ich sobie za sprzymierzeńców, zaczęli myśleć współ z nimi jakby tu delikatnie kwestyę ułożyć, odkładając chwilowo zaręczyny a resztę zostawiając czasowi, wpływom niezmiennej dla Julija-

---

*) Łaskawi czytelnicy wybaczą w wierszach, gdyż ja ani bohater mój, nie jesteśmy poetami z powołania.

na życzliwości starego Hallera który go prawie jak własnego syna ukochał. Zostawmy zakochanych ich szczęściu, a wróćmy do naszego opowiadania.

* *
*

W kilka dni po opisywanych wypadkach w mieście Tomaszowie, jako na partykularzu, towarzystwo bardzo było ożywione. Wątkiem do rozmowy była nagła jakby upozorowana choroba Aniuty, dla odłożenia zaręczyn z Stahlbergiem. Gubiono się w domysłach. Panna Detroit miała bogaty materyjał plotkarski, który codzień ubierała w dziwaczniejsze zagadkowe i barwne pomysły. O prawdziwym stanie rzeczy nikt nie wiedział oprócz pana Leona i najbliższego rodzeństwa. Pan Fajnholz tegoż jeszcze dnia wystosował długi telegram do Owczar, a w kilka dni później pan Berkowski osobiście do Tomaszowa zjechał, gdzie zabawił dni kilka. Przed wyjazdem wręczył Julijanowi pakiet zawierający 15,000 rubli, i metrykę urodzenia i mały dokument. — Jak się w następstwie okazało Julijan był rzeczywiście synowcem Awruma Olejarza, ojciec jego, wyemigrowawszy do Ameryki dorobił się znacznej fortuny, a gdy umierał pozostawił jako egzekutora testamentu pana Berkowskiego, któremu polecił i prosił, aby synowi dopiero wręczył pieniądze gdy zostanie samodzielnym człowiekiem.—Julijan, zostawszy po kilku miesiącach prokurentem pełnym firmy Fajnholzów, ożenił się z ukochaną Aniutą, a gdy

ojciec w dzień przed ślubem, zamawiając orkiestrę z Warszawy, złośliwie zapytał, czy czasem nie zechce znowu zachorować, objęła pieszczotliwie szyję ojczulka i odpowiedziała, kryjąc wzruszenie i zarumienioną od szczęścia twarzyczkę na jego piersi, — „Tą razą nie, papeczko." To też z żalem dla panny Detroit, która straciła materyał plotkarski, odbył się ślub, na którym pan Stahlberg zamówił pannę Aniutę do pierwszego kadryla, do którego właśnie ja miałem szczęście służyć za vis á vis. Bawiliśmy się ochoczo, tańcząc noc całą.

Wróciłem do domu zadowolony, obiecując sobie opisać to zdarzenie w rodzaju nowelki w przekonaniu, — że rozwiązanie, uszczęśliwiwszy naszą młodą parę, zadowolni również i łaskawych czytelników tej nowelki.

KONIEC.

W Łodzi, dnia 12 Czerwca 1889 roku.

NA PRZESMYKU.

POWIASTKA.

skreślił

Natan Zylbersztajn

z Wiślicy.

NA PRZESMYKU.

POWIASTKA.

SKREŚLIŁ

Natan Zylbersztajn z Wiślicy.

Na jednej z ławek skweru na Krakowskiem-Przedmieściu siedziała zakwefiona dama, twarzy jej wcale odróżnić nie było można. Jakiś nieznajomy od kilku chwil przechadzał się po środkowej alei ożwirowanego skwerku,—z niespokojnych ruchów i wyczekującej postawy zdawał się być czemś nadzwyczaj zajętym; spojrzał się kilka razy w tę stronę, gdzie siedziała nieznajoma, oderwał wzrok i gorączkowo utkwił go w niebo, zżółkłe liście, lub żwirową płaszczyznę; doszedł do rogu Bednarskiej, przystanął i, obejmując perspektywą całą ulicę, błędny wzrok znowu powiódł po niebie, nieznajomej, liściach i żwirze i szedł prawie bez tchu, biegając i giestykulując po zakrętach skweru. Dzień był mglisty, słońce złotawym blaskiem uśmie-

chało się, żegnając znikające lato, mgła jesienna zawisła w powietrzu, drzewka obnażały się z listków, atmosfera zdawała się być ciężką, zagadkową i uśpioną, pogrążoną w letargu, bez powabów, ponęty —jak oblicze i dusza nieznajomego.

Dama, w której domyślamy się bohaterki naszego opowiadania, siedziała kilka chwil, namyślając się widocznie nad czemś, — wreszcie zawołała posłańca, dała mu pocichu jakieś zlecenie i znowu pogrążyła się w gorączkowem oczekiwaniu. Uważny spostrzegacz zauważyłby, że jakiś błyszczący przedmiot przeszedł z jej rąk do rąk posłańca, że usta drżały konwulsyjnie, wzrok jej jednak zdradzał energiję i siłę woli. W chwilę później wrócił posłaniec, wręczył jej kartkę z lombardu i kilkanaście rubli, a ona śpiesznym krokiem oddaliła się i zniknęła w stronie Króla Zygmunta.

Nieznajomy nasz był tak sobą zajęty, że bynajmniej nie zauważył, iż już od pół godziny chodził razem z Leonem Piwnickim, przezwanym Antałkiem. Wiecznie uśmiechnięta twarz Leona i zaokrąglona postać jego, ruchy wprawdzie bez elegancyi, ale swobodne, luźne i cała jego postać bezceremonialna, wyrobiły mu przydomek Antałka, do którego z pewną pogodą twarzy, a nawet i niejaką dumą się przyzwyczaił. Leonek przyjmował zaprosiny na śniadanka, nieraz i sam zapraszał, za które, rozumie się, nigdy nie płacił; bywały i zdarzenia, że zaproszeni nie mieli czem zapłacić, — wtedy on wspa-

niałomyślnie poręczał, mając wszędzie małe stosuneczki i znajomości z restauratorami. Apetyt nasz Leon miał świetny; po każdem śniadaniu gotów był na świeżo zacząć; pić mógł bez końca i miary. Przyjaźń jego i bezceremonijalność dochodziły do zenitu bezczelności, ale tak się zręcznie umiał wziąć do rzeczy, tak każdego zagadać, obałamucić, że mimowoli wpadali w jego sidła i koniec końców zapłaciłeś za kilka tuzinów śniadań.

— Czegoś tak osowiał, Geniu! — rzekł Leon do nieznajomego, uderzając go dość poufale po ramieniu, — gdzie twój humor, Geniu? Czy twe papiery spadły, czy ci grad zboże wytłukł?... czy ci się szkuba na rzece rozbiła no, gadajże... no...

— A! jak się masz, Leonie? Co u ciebie słychać? Tak dziś elegancko wyglądasz, — rzekł, patrząc na świąteczny strój pana Leona.

— A bo wczoraj byłem na zaręczynach twej kuzynki i jeszcze nie zmieniłem garderoby.

— Na zaręczynach mej kuzynki! Jakiej kuzynki! Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach? — rzekł patetycznie, starając się przybrać poważną minę pan Eugenijusz?

— No, twej kuzynki, Ernestyny Złotnickiej, z Różogórskim, wczoraj były zaręczyny u twej cioci Zofii, która jak ci wiadomo, wszystkimi i wszystkiem się lubi interesować: filantropią, tego... i jeszcze tam coś — bąknął z przekąsem... — a później spotkałem Stefka, poszliśmy na śniadanie...

Ale Genio go nie słuchał. Leon nie mógł sięgnąć wzrokiem. Genio biegał, jak szalony, i znikł jak meteor w stronie króla Zygmunta.

— Ten chłopak zwaryjował — rzekł flegmatycznik Leon; — poleciał jak strzała; no, no! to coś się święci, a może... — roześmiał się Leon, a głuchy szmer spadających listków wtórował suchemu śmiechowi Leona.

* *

*

Zanim wrócimy do rozwinięcia dalszych wypadków, musimy nieco bliżej zapoznać czytelników z bohaterami naszej powiastki.

Ernestyna Złotnicka była córką zamożnego obywatela i giełdowicza pana Joela Złotnickiego. Pan Joel prowadził interesy zbożowe na wysoką skalę, spławiał do Gdańska całemi berlinkami zboże, jak inni znani kupcy Fajersteinowie, Aschkenazowie i t. d., następnie miał dom komissowy, robiąc przytem operacje giełdowe. Mieszkał w lepszej dzielnicy miasta, urządzony był z przepychem i komfortem. Utrzymywał guwernerów i guwernantki, powóz do wyjazdu, lokajów w liberyi, jednem słowem pan Joel pozował na magnata. Żona jego Hermenegilda (przerobione imię z Chawy), pochodziła z małego miasteczka, z rodziny zacofanej, nawykała pomału do roli wielkiej pani; głowę nosiła do góry, wysuwając nieproporcyonalnie i inne części swej tłustej i pulchnej figurki, którą złośliwi estetycy do najzgrabniejszych policzyć

nie mogli. W powozie rozpierała się, nabierając wielkoświatowych manier; słowem, pani Hermenegilda była nieprzystępną.

Nic dziwnego, że przy takiem otoczeniu wychowanie dzieci zależało od guwernantek i guwernerów, którzy je wychowywali stosownie do swej narodowości, swych zapatrywań, dając ton taki i kierunek całemu domowi, jaki oni ze swego punktu widzenia uważali za stosowny.

Panna Ernestyna była jedyną córką pana Joela; miała dwóch braci, którzy uczęszczali do gimnazyum; głównie też uwagę zwrócono, aby pannie Ernestynie dać najwięcej wykształcenia, tonu i poloru, słowem aby umiała po francuzku, zgrabnie się ubierała, grała na fortepianie dla popisu, — a resztę, no, resztę dokończą kilkadziesiąt tysięcy rubli posagu i nazwisko znane pana Joela. Dlatego też pannie Ernestynie nie brakowało konkurentów, jak to łatwo w czasach tak materyalnych domyśleć się można. Panna Ernestyna miała lat siedmnaście, wzrostu średniego, wysmukłej kibici, twarzy pociągłej, oczu piwnych, szatynka o włosach wpadających w blond; nie była pięknością z pozoru, ale w rozmowie twarzyczka jej zwykle blada ożywiała się i niezwyciężonym pociągała urokiem do siebie. Bo też rzeczywiście zachwycającą była: oczy nawpół zmrużone, twarzyczka uśmiechnięta, dwa rzędy białych pereł, oprawne w najpiękniejsze usteczka, do tego mała brodaweczka (rozumie się naturalna); cała zresztą jej płeć matowa, nale-

żała do owych typowych i interesujących, wzbudzających zachwyt i uwielbienie. W rozmowie Ernestyna z początku zimna i urywkowa, porwana w wir jakiej kwestyi, ożywiała się stopniowo; nadzwyczajnym taktem i bystrością umiała przedmiot tak ubarwić, taką mozaiką różności zainteresować, że byłeś rozpromieniony i zawsze z domu Złotnickich miłe wynosiłeś wrażenie. Dodać należy, że panna Ernestyna ślicznie grała na fortepianie, i gdy zatopiona w akordach melodyj, wywoływała tajemnicze ideały, gubiła się w ulotnych harmoniach, zdawała się przeczuwać nowe życie, nowe ideały, przęła też skrzydła, aby się wznieść w owe niepochwytne sfery i tam w pełnej melodyi akordach kołysać się na puchowych i umajonych łanach illuzyi. Kto ją widział w tak uroczej chwili, ten jej zapomnieć nie mógł; postać jej urocza zdawała się zrastać z duszą, wrażenia jednoczyć w dźwięku tych tonów, które napełniały słuchaczy nieznaną rozkoszą i zachwytem. Tak upływało jej życie prawie w ciągłej zabawie, aż do chwili, w której zaczęto jej swatać partye. Matka znając rozsądek swej Ernestynki, przypuszczała ją do wszystkich tajemnych rozmów swatów i swatek, tak że w ciągu kilku miesięcy poznała fotografie młodych adwokatów, doktorów, prokurentów i niezależnych młodych ludzi, którzy wszyscy starali się o rękę pięknej i bogatej panny. Ale ona dotychczas za żadnym nie przemówiła i ze wszystkich przedstawionych konkurentów nikogo do domu nie zapraszała. Pani Lucks główna swatka chcia-

ła już przestać bywać w tym domu, gdzie tak wybredna panna, ale nie łatwo godziła się z myślą o stracie porękawicznego, i od czasu do czasu wstępowała do państwa Złotnickich. Pewnego razu, gdy pani Lucks nie zastała pani Złotnickiej i chciała się oddalić, panna Ernestyna prosiła ją siedzić, i taka między niemi zawiązała się rozmowa:

— Powiedz mi, kochana pani Lucks, dla czego gwałtem mnie chcesz wydać za mąż?.. A jeżeli jabym sama — mówiła, ociągając się i rumieniąc na przemian — jeżeli ja samabym już wybrała? — powtórzyła z filuternym przekąsem — co pani na to?

— Aha, niezawodnie ten hultaj Szyldkret, pani kuzynek. Już ja mówiłam mamie nieraz, że ten urwis wszystkie nam szyki popsuje. Wszak on butów nie ma, ten, ten... — chciała dalej mówić, ale panna Ernestyna przerwała gwałtownie.

— Dosyć tego! Oświadczam pani, że ja za mąż nie wyjdę; proszę sobie mną głowy nie zaprzątać,— i wyjąwszy portmonetę, rzuciła pani Lucks mówiąc:—to za pani fatygę, a dalej proszę nie fatygować się więcej.

Pani Lucks nisko się skłoniła, macając po kieszeni, czy ma portmonetkę i uśmiechając się, że przynajmniej trudy jej i dyskrecyja cokolwiek wynagrodzone zostały.

* *

*

Na początku powieści dowiedzieliśmy się, że nasz bohater nazywa się Genio, inaczej Euge-

niusz, a dla zaspokojenia ciekawości czytelników zapoznamy się bliżej z jego rodziną. Genio był synem Szymona i Sury I voto N. N., II voto Raszbaum. Pochodzenia pana Szymona sąsiedzi i znajomi dokładnie określić nie mogli, jedni utrzymywali, że pochodził z miasteczka Łucka, inni, że z Żytomierza, inni znowu utrzymywali, że dziadek jego mieszkał w Suwałkach, ojciec zaś przeniósł się do Pińczowa, gdzie się podobno bogato ożenił, a ztamtąd cała rodzina przeniosła się do Warszawy, gdzie zaczęli interesy kupieckie na szeroką prowadzić skalę. Pan Szymon Szyldkret był kupcem bławatnych towarów na Nalewkach, kilka razy zbankrutował; trafiały mu się pożary nieszczęśliwe z nieostrożności przy zakręcaniu rur gazowych w sklepie, i chociaż grubo był ubezpieczony i sute za każdym razem odbierał wynagrodzenie pogorzelowe, a wierzycieli kwitował niczem, to jednak nie przeszkadzało panu Szymonowi wywodzić jeremiad, że został zrujnowany.

Musimy jeszcze dodać, że pan Szymon tylko pozornie zajmował się w interesie; odgrywał rolę dziwną: podpisywał weksle, rachunki, listy ważniejsze z zamówieniami na towary, kontrakt na lokal; wszystkie zobowiązania pan Szymon skwapliwie podpisywał.

Szyldy zaś i tytuł własności były na imię jego małżonki, Sury II voto Raszbaum. Do tej manipulacyi sprzyjała im wspólna litera firmowa S., dla obałamucenia łatwowiernych, — i tak Szymon podpisywał i brał, Sura zaś brała towary i pieniądze

i nikomu nic nie płaciła, a podrastające dzieci korzystały z owoców tych pięknych manewrów i podziwiały mądrość swej rodzicielki. Na takim gruncie wychował się Gimpel Szyldkret, szumnie przeinaczony w Eugenijusza. Zwyczaj, przyzwyczajenie otoczenie, obcowanie, sfera w której żyjemy, bezwzględnie wpływają na charakter człowieka. Warunki psychiczne jego rozwoju podlegają wpływom tego zaczarowanego koła, wśród którego żyjemy i oddychamy. Jak trudnem jest to życie! jak przygniatającym i nienormalnym jest ten oddech! Prawie niemożliwie jest przejść za owe koło, gdzie inna wegetacya, inne prądy, inne tendencye, inne życie. Jakiś urok niewysłowiony ciągle nas zwraca w ów pierwotny początek, ujarźmiony nawyknieniem. Jeżeli prawa natury przez samego Boga są uświęcone, ileż potrzeba trudu, aby w duszę człowieka wlać inny eliksir życia, nowym natchnąć go ideałem, serce orzeźwić miłością i wskrzesić dla nowej kultury, nowych i prawdziwych zasad i związanych z niemi istotnych praw i obowiązków człowieka. Dla uzupełnienia opowiadania dodać musimy, że pan Szymon dwa razy się ożenił, a gdy pomimo bankructw i nieszczęśliwych pożarów interes mu nie dopisał, postanowił rozwieść się z żoną i szczęścia małżeńskiego spróbować po raz trzeci; bo też trzecia żona jego, Sura, rzeczywiście uchodziła za wielką chuchemtę (mądrą), i z nią miał już napewno dotrzeć do mety, t. j. osiągnąć owe bożyszcze dzisiejszych pragnień jedyne: majątek i bogactwo. Pan Szymon

w przystępie dobrego humoru mawiał: „jestem podobny do owego mędrca, znanego w ustach ludu, Froima Grajdygera*), który mając wyjeżdżać na jarmark do Łęczny, zwykle najmował trzy furmanki: jednej ja nie będę może chciał, druga może mnie nie będzie chciała, a trzecią pojadę napewno. Ja też z moją Surcią żyjemy już 20 lat i jest nam bardzo dobrze.“ Pan Szymon się nawet przy tem opowiadaniu oblizywał,—niewiadomo, czy to na wspomnienie jakiego przysmaczku, którym go jego ulubiona Surcia raczyła, czy też na wspomnienie figlów, których Surcia przy regulacyjach z wierzycielami używała,—dość, że pan Szyldkret zdawał się być zupełnie zadowolony ze swego trzeciego małżeństwa ze Surą z Hohenbergów 1-o voto N. N. 2-o voto Raszbaum. Jedno go tylko gryzło i martwiło, że jego Gimpelek nie był przy nim; został bowiem oddany na pensyę do państwa Hejmanów, za silnem wstawieniem się ciotki Zofii. Nie obeszło się tu bez protekcyi, gdyż pan Hejman, mając dzieci pierwszych rodzin, nie chciał przyjąć naszego Gimpla, przeinaczonego na Genia, mawiał bowiem, że jedna... owca psuje całe stado; ale przez usilne wstawienie się za nim ludzi dobrej woli, Genio Szyldkred umieszczony został na pensyi u państwa Hejmanów, znajdującej się przy ulicy Dzikiej w domu Regiel-

---

*) U ludu w opowiadaniach żargonowych znani są Froim Grajdyger i Mordka Rakowicz, o których różne opowiadania i baśnie ludowe opowiadają.

mana. Utrzymujący pensyę był nauczycielem szkoły elementarnej i przyjmował uczniów na stancyi, dając im troskliwą opiekę i jaknajlepsze ojcowskie wychowanie. Kto nie widział tej twarzy sympatycznej, wiecznie prawie uśmiechniętej tego małego człowieczka, który umiał sobie zaskarbić przyjaźń i przywiązanie uczniów i ich opiekunów!

Nie umiejąc po polsku, nie mając odpowiedniej garderoby ani serwisu, przyjętym zwyczajem na lepszych pensyach, Genio Szyldkret zajął na pensyi u Hejmanów mimowolnie, wyłączne stanowisko. Koledzy złośliwsi kpili z niego, pobłażliwsi stronili lub go ignorowali, i takim sposobem Genio nie brał udziału ani w ich zabawach, ani przyjemnościach, a serce jego zawrzało zazdrością i zawiścią obrażonego egoizmu.—Genio stał się dzieciakiem-egoistą; uczył się po całych nocach, ale tylko dla tego, że chciał wyprzedzić, prześcignąć swych rówieśników. W krótkim też czasie umiał na pamięć całą geografię Czarkowskiego, historyę Poplińskiego, i po dwóch latach nauki, skończywszy pierwszą i drugą klasę z nagrodą, został przygotowany przez studenta uniwersytetu do klasy czwartej i świetnie zdał egzamin. Odtąd Genio zaczął się kształcić o własnych siłach, gdyż ojciec mu odumarł i pozostawił bez środków do dalszego kształcenia się. Lekcye prywatne dostawał z wielką łatwością, ale jeszcze je prędzej tracił, gdyż, nie mając żadnego obejścia, zrażał rodziców i swoich uczniów, tak że mu zwykle z końcem miesiąca, a czasami jeszcze wcześniej pieniądze

przysyłano w zapieczętowanej kopercie, żegnając takim sposobem niefortunnego korepetytora. Eugeniusz jednak był bardzo bogatym w pomysły, narzucającym się, niedyskretnym; czasem obszarpany, czasem odrazu znowu wyświeżony, był on podobny do owego czarownika Bosko, o którym powiadają, że zjawiał się jednocześnie w rozmaitych miejscach, pod najróżniejszą postacią i w różnyych kostyjumach. Pan Eugenijusz z szóstej klasy wydalony został z gimnazyum i do dnia dzisiejszego nie przypomina sobie, czy sam nie chciał dalej uczęszczać; ale to mu nie przeszkadzało wprowadzać się do rozmaitych domów pod pozorem, że się przygotowuje do egzaminu dojrzałości. W ciągu dwóch lat był nauczycielem w Łodzi, w Opatowcu, w Działoszycach, w Radomiu, w Owczarach, w Busku, na Łabędziu, w Pińczowie, w Kielcach i w Warszawie. Jeździł w celach matrymonialnych do Pułtuska, Opatowa i Krzeszowic. Nareszcie wrócił do Warszawy z renomą urwisa, blagiera i zdolnego, ale zepsutego nicponia. Dochodziły różne wieści o rozmaitych sztuczkach i kawałach pana Eugenijusza, odziane nawpół w romantyczne, nawpół w donkiszockie odcienie. Raz opowiadali, że pan Eugenijusz zaręczył się z wdową po szynkarzu na Powązkach, to z córką Gecla, utrzymującego knajpę na Solcu. Podobne sprawki bardzo często dochodziły do uszu państwa Złotnickich. Jedynie panna Ernestyna zawsze go broniła we wszystkich jego błędach upatrując winę otoczenia, złego wychowania; znajdowała zawsze sposobność bronić go

młodością, niedoświadczeniem, a gdy pan Eugenijusz przychodził z wizytą, była rozpromieniona radością i weselem. Stosunku bliższej znajomości między nimi nie było; jednak dość było wymówić nazwisko Szyldkreta, aby Ernestyna się zapłoniła i pokryła żywemi rumieńcami. To samo było z Geniem: nazwisko jego kuzynki elektryzowało go i napawało nieznanem uczuciem i powagą lekkomyślną tę naturę. Pewnego dnia Genio przyszedł z wizytą do swych kuzynów; nikogo w domu nie zastał oprócz swej kuzynki Ernestyny. Usiadł obok niej, czytając niedbale gazetę o wypadkach codziennych, gdy usłyszał obok siebie niecierpliwe tupnięcie nóżką, z małym grymasem, a odwróciwszy się, ujrzał jak kuzyneczka jego poskoczyła do drugiego pokoju, przylegającego do salonu i rozpłakała się rzewnemi łzami. Osłupiał nasz opuszczony i nieszczęśliwy Genio; padł na kolana przed nią, ona mu w objęcia i przysięgli sobie wieczną wiarę, wiarę na całe życie, na wieki — ona energiczna i silna, on w entuzyazmie i prawie wyczerpany ze sił.

Stanąłem w tej powieści przed granitową i nieprzystępną skałą. To niemożliwe — powie krytyk — Jakto młoda panienka, rozumna, inteligentna i bogata, otoczona gronem młodych i wykształconych ludzi, z urodą, imponującem stanowiskiem, odrazu zakochała się prawie w dzieciaku dziewiętnastoletnim, lekkomyślnym, z zepsutą renomą. I ja gotówbym nazwać uczucie to kaprysem dziecinnym, gdyby ono nie objawiało się w każdej myśli, w każ-

dem tchnieniu, w każdej niemal pulsacyi Ernestyny.

Jeśli piekne me czytelniczki zbytnio zainteresowały się nieznajomym, muszę je cokolwiek bliżej zapoznać z osobą pana Eugenijusza, którego postać wyraźniej narysowuje się w naszej powieści. Był wysokiego wzrostu, nieregularnych rysów twarzy, cery brunatnej, ciemno-szatyn, szerokie czoło, usta omszone małym wąsikiem, ale oczy piwne, przenikliwe i inteligentnie zdawały się przenikać do głębi twej duszy i z rozkoszą lubować się i napawać ożywczem tchnieniem rozbudzonego uczucia. Czy sekret ten leżał we wzroku, czy tkwił w duszy, czy był tylko kaprysem rozpieszczonego dziewczęcia, fakt, że Ernestyna to czuła, a nawet we łzach radości z tego uczucia przed rodzicami się wyspowiadała. Matka, w gruncie rzeczy dobra kobieta, przyjęła wiadomość tę dość pobłażliwie, tem bardziej, że przecież Genio był ich krewnym; francuzka guwernantka utrzymywała, że Genio jest bardzo przystojnym i różnice majątkowe przy małżeństwie powinny być uwzględniane; ojciec zaś początkowo krzyczał ale że Ernestynę kochał nad życie, zezwolił wreszcie na wszystko i prosił, aby nazajutrz gdy Genio przyjdzie, poprosić go do jego gabinetu, gdzie chce się z nim osobiście i stanowczo w tak ważnej rozmówić kwestyi.

*

*   *

Niewiadomo, co pan Joel uradził na owej konferencyi z Geniem, dość że po kilku tygodniach pan Eugeniusz, opatrzony świadectwami szkolnemi, pieniędzmi i listami rekomendacyjnemi, wyjechał na kursa medycyny. Pan Joel rzekł do Genia: „Mój kochany, słyszałem wszystko od Ernestynki. Osobiście przeciwko tobie nic nie mam; jesteś trochę za lekkomyślny, a wreszcie niezły z ciebie chłopiec, ale musisz sobie obrać fach, abyś miał utrzymanie, a wtedy chętnie ci oddam Ernestynkę i pobłogosławię.“

Zaczęto radzić, zastanawiać się; stanęło na tem że Genio zda egzamin dojrzałości, co przy jego zdolnościach było bardzo łatwem, i opatrzywszy się we wszystko, co potrzeba, pojedzie na uniwersytet.

W uniwersytecie pan Eugenijusz Szyldkret bardzo punktualnie uczęszczał na kursa; punktualność swą posuwał do najwyższej pedanteryi, gdyż będąc już raz w życiu wykolejonym i czując ciężkie brzemię i skutki takiego wykolejenia, trzymał się prawideł żelaznemi kleszczami zjednał sobie w uniwersytecie ogólne poważanie. Po skończeniu uniwersytetu wyjechał jeszcze na koszt pana Złotnickiego do Berlina, gdzie się doktoryzował, a zmieniwszy jeszcze nazwisko Szyldkret na Żółwiek, osiedlił się w Warszawie, zyskał rozległą praktykę i uznanie. Czy ze zmianą nazwiska zaszła głębsza zmiana w uczuciach, tendencyi i moralnym ustroju pana Żółwieka? czy wychodząc z ciasnej sfery przesiąkniętej miazmatami

cuchnącemi gheta, zdołał tchnieniem światła i nauki na szersze pchnąć się tory, talizmanem miłości bliźniego, ożywczem tchnieniem ludzkości wskrzesić marmurowy posąg spiżowego materyjalizmu i w szlachetniejsze prawdziwsze ukształcić go formacye?

Charakter pana Szyldkreta, obecnie Żółwieka, w niczem się nie zmienił. Co występowało u niego dawniej w nieokrzesanem i rubasznem obejściu, dziś ujawniało się w wyniosłej i nieugiętej pysze; psychiczne własności jego egoizmu potęgą nauki ujawniały się w formie więcej etycznej, ale ta wiedza nie wpłynęła na charakter nie uwydatniała się żadnem ożywczem ciepłem miłości bliźniego, ani też lepszą dążnością zdrowszą tendencyą serca jego nie wypełniła. Dla tego też pan doktór Żółwiek, mimo swych tytułów i pewnej ogłady towarzyskiej, mimo doktoryzacyi i stopnia naukowego, niewiele się różnił od zacofanego Gimpla Szyldkreta. Chałat i toga uniwersytecka, dwie takie krańcowe oznaki, w tym wypadku nic nie zdołały zmienić w indywidualności osoby, która je nosiła. Jeżeli cywilizacyja łącząc nas ze społeczeństwem, ma tylko pozornie i w celach egoistycznych nas chwilowo zbliżać; jeżeli mamy wykładać zasady humanizmu dla czczej formy, nie biorąc czynnego udziału duszą, sercem i krwią naszą w potrzebach społeczeństw,—to takie pozorne zbliżenie jest tylko czczą formą, a nawiasowo mówiąc, szopką bez pożytku i celu. Jeśli nauka z pochodnią w ręku ma tylko przyświecać głowie a nie sercu,

jeśli w miejsce wypleniania zielska i chwastów niewiary lub mistycyzmu, rozsiewamy ateizm i formułki filozoficzne, oparte na niczem niedowiedzionej frazeologii, jeśli nauka, powtarzam, zamiast przyświecać w przyszłości, w samym zawiązku rośliny (młodzieńca), zatruwa kielichy i korony, cóż ona później chce wyrobić z tego drzewka, gdy korzenie i rdzeń przegniłe, a pączki i gałęzie zatrute, gdy prawidłowy rozwój niemożliwy wyradza się w bezwzględne zwątpienie? Oto obrazek naszego kochanego pessymizmu. To też, powtarzam, charakter pana Żółwieka w niczem się nie zmienił: egoista-dzieciak wyrósł na egoistę mężczyznę. Im wyżej sięgała jego wiedza, tym wyżej wzbijała się jego ambicyja i nienasycona żądza tej egoistycznej duszy. Obraz Ernestyny każdą razą malał w jego oczach, tem bardziej, że w ostatnich latach wielkie utrapienia nawiedzały dom Złotnickich. Kilka berlinek utonęło, zachwiany kredyt w domach zagranicznych i nieszczęśliwa spekulacyja na giełdzie, dokończyły upadku pana Złotnickiego. Pewnego poranku pan Joel przybiegł do domu, zadyszany latał po pokoju jak furyat; wyrzucił klatkę z kanarkiem przez okno, powywracał wszystkie meble, krzycząc staszliwą cyfrę: „78 ultimo! 78 to strach, pokrycia niema! 78, jestem zrujnowany.“ Nic nie pomagała perswazya całej rodziny; wszystko na próżno, 78 ultimo krztusiło w gardle, hamowało dech w jego piersiach, zasłaniało mu wzrok zaciemniało umysł, i upadł bezsilny na podłogę, widząc w swojej wyobraźni 78 ultimo.

W godzinę po tym wypadku chory leżał w malignie, majacząc niezrozumiałe zdania i urywane frazesy.

Konsylium, naprędce złożone z kilku najzdolniejszych lekarzy, zaopiniowało, że z chorym jest bardzo źle, gdyż choroba ta nie wchodzi w zakres medycyny, a leży raczej w ustroju jego duchowym, w nieszczęśliwym jakimś momencie psychicznym, który spowodował spaczenie i wykolejenie normalnej czynności i gry w ustroju jego mózgowym. Rzeczywiście, być przed chwilą otoczonym przepychem i komfortem, kołysanym fałszywym i sztucznym blaskiem zgrai indywiduów, którzy skakali koło pana Złotnickiego, hołdując złotemu cielcowi, będąc prawie bożyszczem całej dzielnicy Nalewkowskiej, wybranym na doradcę do udzielenia rad i objaśnień sędziego polubownego w sprawach i nieporozumieniach między znaczniejszemi firmami, przez aklamacye na prezesa zebrań i klubów, widząc przed sobą mozajkę wszystkich tych wrażeń, tak ponętnych dla naszego egoizmu, i odrazu runąć jednem dmuchnięciem wiatru, jedną marną cyfrą! Doktorzy go też uratować nie mogli; żył jeszcze kilka dni i zmarł nieszczęśliwy, majacząc tylko o cyfrze 78 ultimo. Po śmierci pana Joela wierzyciele rozebrali cały majątek; nawet na meble nałożono areszt. Ernestyna zaś z matką przyjęła mieszkanie u cioci Zofii Nirnsztein, dając przytem kilka lekcyj, między innemi u pani Skrzeczek.

Ernestyna zrozumiała swe obowiązki. Twarz jej dziwnym spokojem zaświeciła. Wzięła się do pracy, szukając w niej ulgi i wytchnienia.

A doktorowi Żółwiek, jeżdżącemu powozem, nie przyszło do głowy dowiadywać się, co robią ludzie, którym on cały swój byt zawdzięczał.

Przypadkowym sposobem spotkał swą kuzynkę w skwerze na Krakowskiem-Przedmieściu, ale była tak zmieniona, że trudno ją było poznać. Nie mogąc jej wstrzymać, pobiegł za nią i widzimy go znikającego na zakręcie Króla Zygmunta.

Przy ulicy Marszałkowskiej, w narożnym domu, mieszkał pan Józef Nirnstein ze swą rodziną. Pan Nirnstein bardzo już dawno mieszkał w Warszawie. Był to rodzony brat Szyldkreta. Przy przybraniu imion familijnych, jeden brat nazywał się Szyldkretem, drugi Nirnsteinem, a trzeci Kamelharem. Taką różnorodność nazwisk familijnych spotykamy także w naszem mieście, gdzie np. trzej bracia nazywają się: jeden Dylion, drugi Tykociner, a trzeci Litauer.

Pan Nirnstein ożenił się w mieście Lublinie z panną Lewenherz. Jak różne były nazwiska braci, tak też odmiennemi były ich charaktery i dążenia. Pan Nirnstein zupełnie inaczej wychowywał swe dzieci, gdyż żona jego Zofija była niewiastą bogobojną i cnotliwą; to też inaczej dom jej się przedstawiał; w innym rygorze, w innym porządku cały dom jej był prowadzony, i nasza bohaterka u ciotki Zofii, której macierzyńskie obchodzenie się wzbudziło w jej sercu dotąd nieznane uczucia, swo-

bodnie odetchnęła.—W ogóle ład, porządek i ochędóstwo, spokój, miła i niewymuszona powaga, ten zwyczajny, poważny ton całego otoczenia miał w sobie uroczystą, ujmującą i naturalną powagę, a przytem z każdego kącika wiało ciepłem ogniska rodzinnego: tak tu wyglądało swojsko, tak jakoś w domu, że inni jej krewni zdawali jej się po kilku tygodniach obcymi, należącymi do innego świata, innych przekonań, innej religii. Gdy w domu u nich mnóstwo było modłów i postów, psalmów, śpiewów, skoków i podrygów, jako formułek religijnych,—tutaj była cicha i skromna praca; wpajano zasady miłości bliźniego, honoru i moralności, zasady obowiązku względem Boga, rodziny i swoich współludzi. Gdy tamte ceremonie, w której uwidoczniała się straszna postać, jakiejś mściwej Nemezys, będącej z nami w bezpośredniej a codziennej walce, gdy spiżowe oblicze niezrozumiałej dla niej kultury, zamienione zostało i roztopiło się w cieple miłości, gdy serce jej zapłonęło tem ciepłem, a ztamtąd niezliczonemi promieniami rozgrzało całe jej jestestwo,—jakże zmiennie wszystkie jej rysy się przedstawiały! Duch prawdziwej wiary ożywił marmurowy posąg jej poprzedniego ideału i pięknym szkarłatem oblał jej lica. Jakże ona była piękną, gdy oczy jej bez wyrazu, szukające zagadnień ideału, znalazły w Nieskończonem Miłosierdziu cudowny w szatę purpurową odziany talizman, nazwany wiarą! jakimże urokiem zabłysło jej oko, jakim promieniem cała jej istota zaświeciła! Jak człowiek strudzony podróżą,

spragniony, w nieskończonej piaszczystej pustyni, gdy mu piachy oddech tamują i chmury zawieszone nad jego głową grożą zniszczeniem, gdy go samego zwątpienie i rozpacz ogarnia, i odrazu z pośród gąszczy piaszczystej, z pod kaskady bałwanów, Samumu, przegląda do niego światełko nadziei, światełko prawdziwej wiary.

Przy ulicy Nowolipki, w domu Wilnera, wystawiono szyldy ogromne z napisem: „Pensya 4-ro klasowa.“ Przełożona pensyi, córka jednego z restauratorów z ulicy Franciszkańskiej, skończywszy szkółkę przygotowawczą, gdy jej się sprzykrzyły umizgi gości restauracyjnych postanowiła wyjść za mąż. Trafił jej się młody człowiek, który był przez kilka lat belferem w chederze na Muranowie. Otóż ci dwoje, złączywszy się węzłem małżeńskim, postanowili założyć pensyę na swoją rękę, w formie wyższego chederu, i tam wychowywać i kształcić przyszłe pokolenie Nalewkowskie.

To też prawdziwa frajda (pociecha) była zajrzeć do tego nowego przybytku wiedzy. Pani przełożona, w rannym szlafroczku i czepeczku à la Pompadur, przyjmowała nowe elewki z ich rodzicami lub opiekunami, a że obejście pani Skrzeczek, z domu Cwibelstein, było bardzo eleganckie (krzywiła bowiem co chwila gębę, sznurując ją i przystrajając w najrozmaitszy sposób), to też pensya pani Skrzeczek została nadzwyczaj popularną i wziętą. Pani Skrzeczek przyjęła dla reklamy pannę Ernestynę, którą bardzo lubiła. Jakaż była jej radość, gdy wieczorem, nie podczas lekcyi, prawie z wizytą,

Ernestyna się zjawiła! „Kochana pani Ernestyna, jak Boga kocham, pani sama tutaj! droga Pani, niechże pani siada, jak Boga kocham! Kubciu—krzyknęła do drugiego pokoju — Kubciu — krzyczała—prędzej, bo jak Boga kocham, tu pani Ernestyna przyszła.“

— Przedewszystkiem—nikt nie powinien wiedzieć, że ja tutaj jestem — rzekła Ernestyna, zdejmując powoli woalkę i kapelusz i kładąc na krzesełku obok siebie. — Przyszłam na chwilę odwiedzić cię, moja Skrzeczek, i wracam do cioci na herbatę. Liczę na twoją wierną dyskrecyją — rzekła jakby w upomnieniu.

— Jakto wierność, jak to dyskrecyę, jak Boga kocham, moja pani Ernestyno, moja kochana pani, żebym tak zdrowa była, jakto, spytaj się pani mego Kubcia, Salcia, i dyskrecya, jak Boga kocham, moja droga pani, a cóż pan Różogórski, hę? Jak Boga kocham—i nie byłoby miary tym przysięgom, gdyby nagle nie ukazała się we drzwiach postać doktora Żółwieka.

Eugenijusz bowiem jednym tchem przebiegł ulice, aż na ulicy Nowolipkach zwolnił kroku; zdawał się bowiem poznawać zdaleka swą kuzynkę Ernestynę; ale i tu nie śmiał dojść; znowu go jakieś niezdecydowanie opanowało; nareszcie znikła w bramie domu, gdzie była pensya pani Skrzeczek.

Dowcipne więc przypuszczenie, jakie zamigotało w głowie Genia, sprawdziło się: szła do państwa Skrzeczek, a raczej biegła w gorączkowym pośpiechu i wewnętrznym strachu, aby ją ktoś na ulicy nie po-

znał. Genio chodził tam i nazad koło bramy mieszkania pani Skrzeczek, robiąc różne miny, machając rękami, jakby sam ze sobą walczył i rozmawiał, w końcu jednak przezwyciężył się, jak furyat wpadł do bramy, jednym tchem przebiegł schody na pierwsze piętro i z taką siłą zadzwonił, jakby od otworzenia drzwi życie jego zależało.

Na takie raptowne zadzwonienie, zjawiła się we drzwiach przelękniona, mocno blada pani Skrzeczek; zapytała z kim ma przyjemność mówić i czego pan sobie życzy.

— Chcę i muszę mówić z mą kuzynką Ernestyną — rzekł dobitnie i stanowczo Eugeniusz, a gdy zamiast wszelkiej odpowiedzi, jego kuzynka przed nim stanęła, nie uląkł się, ale powtórzył: „Muszę z tobą mówić, Ernestyno, wbrew twojej woli i woli całego świata. Gdyby rozmowa ta miała życie kosztować, nie możesz mi jej odmówić — rzekł jakby w ogniu; twarz jego blada ożywiła się dziwnym blaskiem energii.

Zaprosiła go więc ze sobą do saloniku, z zupełną przytomnością, prosiła go zająć miejsce obok siebie i zapytała, czego sobie życzy? —

Eugeniusz zmięszał się, a gdy nie odpowiadał, Ernestyna wstała niecierpliwie i rzekła jakby z goryczą, nie mogąc się pohamować dłużej:

— Tak, przyszedłeś, bo nie miałeś odwagi nieprzyjść, bo tchórzem jesteś i podłym, tak. Jeżeli już tu jesteś, to słuchaj: wiedz, że kochałam cię całą siłą mojego ducha, każdą fibrą mego serca; tysiąc

razybym życie za ciebie oddała; niczem były dla mnie oszczerstwa, jakiemi cię obrzucano, szyderstwa znajomych. Wszystko znosiłam, bo cię kochałam. A teraz tobą pogardzam, a jeżeli się kim pogardza— mówiła przez łzy—to kochać dłużej nie można—i to powiedziawszy, wyniosła, jak królowa majestatyczna, wyszła z pokoju, zostawiając pana Eugenijusza, jakby pod klątwą jej słów,—jej wyznania. Wyszedł z mieszkania pani Skrzeczek. Zdawało mu się, że ma wyryte na czole przekleństwo Kaina. Nic nie widział, nie słyszał, bo w uszach jego, w duszy i sercu dźwięczały tylko ostatnie jej słowa.

„Jeżeli się kim pogardza, kochać niepodobna.”

Trudno opisać jak długo pan Eugenijusz szedł zadumany po opustoszałych ulicach. Twarz jego przybierała różny wyraz i zdawał się ze samym sobą toczyć wewnętrzną walkę. Malowały się naprzemian w jego rysach: boleść, utrapienie, gorycz, zachwyt, rozpacz i smutek; wszystko to jak w kalejdoskopie mignęło w jego rozżarzonej fantazyi i zdawało się, że wszystkie nitki tego oryginalnego chaosu, który splótł się z rozmaitych pierwiastków w tej skołatanej duszy, naprężyły się i złączyły się w jedno skupione uczucie, a tem uczuciem było zupełne zwątpienie.

Ale zaiste dziwnym jest cudowny ustrój człowieka. Gdy mróz lodowaty ścina tchnieniem ciepła wzbudzoną wegetacyę, a zrozpaczony indywidualizm kiełkuje zgniliznę i rozpacz, wtedy to objawia się owo niezrozumiałe i miłością tchnące uczucie wiary, które,

jako talizman, swym promiennym urokiem niweczy ziarno zgnilizny i wprowadza reakcyję w skołataną duszę człowieka. To też i Genio chodził zrozpaczony, złamany, błądził po ulicach Warszawy wątłym i giętkim krokiem, bez celu i dążności; w kilka godzin później obudził się młodym człowiekiem, pełnym zapału i wiary; z podniesioną głową, iskrzącym wzrokiem i pełną postawą zdawał się być olbrzymem, gotowym stanąć do walki z całym światem i stawić z urąganiem czoło wszystkim przeciwnościom losu. Twarz jego przytem nabrała wyrazu energii i siły, które pana Eugenijusza do niepoznania zmieniły.

Że reakcya ta nie była zupełną i nastrój jego duszy niezupełnie wyleczony z chwastów i zgnilizną cuchnących mikrobów, otoczeniem zarażonego organizmu w sferze prądów egoistycznych i materyalnych, dowiemy się w dalszym ciągu naszego opowiadania.

Trzeba bowiem silnych bardzo wstrząśnień dla rozbudzenia w duszy szlachetniejszych i prawdą tchnących pierwiastków, i czasu dla zaklimatyzowania jej w tej sferze.

Pani Luks występuje tutaj po raz drugi w roli Mefistofelesa. Swata doktorowi świetne partyje, pobudzając jego ambicyję. Dopięła nareszcie skutku i doprowadziła do tak zwanego widzenia się (pierwszych oświadczyn) z bankierówną Kahlberg,*)

*) Był to jeden z grona mnożących się w ostatnich czasach bankierów-spekulantów sprzedaży premijówek na raty.

Po drodze usłanej asfaltem pędził powóz doktora Żółwieka i stanął przed jednym z domów na ulicy Wierzbowej, należących do bankiera Kahlberg. Pan Eugenjusz z lekkością młodzieńca zeskoczył ze stopni powozu, przebiegł wszystkie schody na pierwsze piętro, został ceremonialnie przyjęty przez rodziców, a następnie zaproszony do salonu, gdzie koło klombu kwiatów, prawdziwej oranżeryi, znajdowała się panna Melanija Kahlberg. Wyglądała w szarem jedwabnem ubraniu z wysoko podpiętemi warkoczami, ze swą wysoką postawą i bladą twarzą, jak postać w jednym z dramatów tragicznych Szekspira.

— Prawdziwie—rzekł wesoło doktór Żółwiek—co za śliczna oranżeryja.

— Bo ja lubię kwiatki — rzekła z przesadą panna Melanija.

— To też między niemi sama najpiękniejszym jesteś kwiatkiem—dodał nieco ciszej, nachylając się do ucha Melanii.

— Złośliwy jesteś, doktorze—szepnęła zarumieniona, ale jakby dla zaprzeczenia nastąpił uścisk rączki, którą Melanija zdawała się wcale nie wycofywać z rąk doktora. Później zaproszeni zostali na śniadanie.

Nazajutrz było ogłoszenie w „Izraelicie.“ Zamiast specyalnych zaprosin podaje się do wiadomości przyjaciół o zaręczynach córki mej Melanii z doktorem panem Eugenijuszem Szyldkret-Żółwiekiem.“ — Pokazuje się, że pani Luks nie próżnowała, a porę-

kawiczne Ernestyny powetowała sobie u doktora Żółwieka.

Warszawa była gwarną. Nadeszła bowiem zima, a znią sezon karnawałowy, sezon zabaw i radości. Tu szlachta z prowincyi zjeżdża, aby odpocząć po ciężkich trudach gospodarki, przyjeżdżają i geszefciarze, aby nowy interes zrobić, stare uregulować, a Warszawa się bawi. Na wszystkich rogach porozlepiane były afisze o występach Maziniego, publika biegała do kas teatralnych, aby sobie jakiekolwiek miejsce zamówić. Nasz doktór Żółwiek zaproszony był do loży swojej narzeczonej bankierówny Kahlberg, gdzie też punktualnie się zjawił. Grano w teatrze „Hugonotów“ i gdy Artôt w akcie 3-m w roli Walentyny, narażając własne życie, chciała bronić Artura, gdy w konwulsyjach prawie u nóg się jego czołgała, gotowa znosić pogardę całego świata, aby tylko jego ocalić; gdy natchniona i otoczona jakby nadziemskim blaskiem i męczeńską koroną, stanęła przy wejściu, mówiąc: „tylko po moim trupie przejdziesz,“—Żółwiek uprzytomnił sobie Ernestynę i zdawało mu się, że ona do niego przemawia: „taką Walentyną ja byłam dla ciebie, a ty?“ — i o dziwo, nasz doktór zapomniał o konwencyi, o teatrze, milionach i premiach bankierówny, wypadł jak szalony z teatru, dopadł do pierwszej lepszej dorożki, „na ulicę Grzybowską!“ krzyknął, a uprzytomniając sobie całą sytuacyję, żałość ścisnęła mu serce; zapłakał, jak dziecię, może pierwszy raz w życiu rzewnemi łzami, zdołał zaledwie wybełkotać dwa

słowa: „biedna Ernestyna!“ Orzeźwiony świeżem powietrzem, doktór Żółwiek kazał dorożce coraz wolniej jechać. Spojrzał na zegarek, a że już było po jedenastej i zapóźno na wizytę, do siebie kazał dorożce nawrócić i jechać do domu.

Całą noc nie mógł zmrużyć oka; postać Ernestyny ciągle mu stawała w pamięci. Można sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością oczekiwał dnia i jak nazajutrz z biciem serca zadzwonił do mieszkania p. Nirnstein. W mieszkaniu państwa Nirnstein była głęboka cisza i smutek; wszystkie oczy były zwilżone, twarze nawpół modlące się, nawpół omdlałe, a na łóżku w swoim pokoiku, w strasznej gorączce, leżała Ernestyna. Wypadki ostatnich dni, zaręczyny doktora Żółwieka z panną Kahlberg, ostatnie widzenie się z nim u pani Skrzeczek, wszystko to mocno oddziałało na i tak już nadwątlony organizm nieszczęśliwej Ernestyny. Była już prawie bez zmysłów; nikogo nie poznawała, i nic dziwnego, że nasz Eugenijusz przez kilka nocy, bez wypoczynku u niej pozostawał, wyczerpując cały zapas swej nauki i ze łzami skruchy wzywając w pomoc Wszechstwórcę, aby jego usilne starania wspomógł i nad nieszczęśliwą a tak niesprawiedliwie przez niego opuszczoną się ulitował. Można sobie wyobrazić radość naszego doktora, gdy po kilku dniach uczuł lepszą pulsacyję a chora, otworzywszy oczy, jakby z długiego snu, wymówiła pieszczotliwie imię Eugenijusz. Powoli przychodziła do siebie. W jej wzroku nie było żadnego wyrzutu; widziała znękaną twarz doktora;

zrozumiała jego walkę, a gdy raz, siedząc przy niej, spojrzał na nią, chcąc jej coś wyjaśnić, położyła mu swą rękę na ustach i rzekła: rozumiem.

Miłość dodaje siły, nowe życie wlewa; to też nasza bohaterka wkrótce wyzdrowiała i po kilku miesiącach została szczęśliwą małżonką doktora Żółwieka. Byli na tym weselu i pan Leon Piwnicki, który po setny raz opowiadał historyję ze Stefkiem, i pani Skrzeczek ze swoim Kubusiem, któremu niezliczone razy coś opowiadała, przysięgając się, jak Boga kocham, i nie byłoby miary tym przysięgom, gdybym nie śpieszył z ukończeniem niniejszej powiastki.

K O N I E C.

W PRZYSTANI

NOWELLA.

Napisał

Natan Zylbersztajn

z *Wiślicy.*

W PRZYSTANI

Nowella.

Napisał

Natan Zylbersztajn z Wiślicy.

Trzask z bicza i odgłos trąbki pocztowej, zdawały się zapowiadać spokojnym mieszkańcom Suchedniowa nadejście dyliżansu pocztowego. Niebawem też kuryerka zatrzymała się, a pasażerowie poopuszczali swe miejsca i zbliżyli się do restauracyi będącej po stronie gmachu pocztowego. Nie obeszło się tu bez zwykłej asystencyi szynkarza, pachciarza i mełameda (bakałarza miejscowego), którzy jakoby w procesyi wprowadzali przybyszów, popychali się wzajemnie, wyrywali paki i tłomoki z rąk, oglądając się co chwila na biednych jakby w niewolę wziętych pasażerów. Ofiarowali swe usługi, podsuwając się swem ciągle powtarzanem „jaśnie wielmożny panie, jasny dziedzicu,“ aż pod nosy swych ofiar, które w miejsce chwilowego odpoczynku po znojnej

podróży, zostali napadnięci przez gawiedź Suchedniowską, czatującą na przybycie kuryerki, jako na jedyny środek egzystencyi.

Niedaleko stacyi pocztowej stał mały domek, podparty trzema słupami, a przed nim, przy samém prawie wejściu, bryka pokryta płótnem niewyraźnego koloru, łatana szmatami dziwnych kształtów i wielkości. Był to omnibus Sany, kursujący na trakcie z Warszawy do Radomia i Kielc. W tym samym czasie po wązkiej drożynie, wiodącej przez folwark Miernów na trakt do Łopuszna, gęste tumany kurzu, wyraźny turkot kopyt końskich, przeplatany śmiechem i wrzawą—stanowiły ogromny kontrast ze zwykłym spokojem i prawie grobową ciszą sławetnego Suchedniowa.

Wesoła ta sylwetka urozmaiconą została jeszcze szczególnym zbiegiem okoliczności. Mały chłopczyna około sześciu lat mieć mogący, bosy, w szarawej nankinowej kapotce, okrągłej czapeczce z podwójnem owinięciem, w rodzaju małej szlafmycy o twarzycce okrągłej zasapanej i zasmarowanej rozmaitemi tłuszczami, kroczył krokiem poważnym, trzymając oburącz talerz z kartoflami zaprawionemi cebulką i sosem rybim. Nasz chłopczyna, małym Iserkiem zwany, nie pytał o nic, kroczył śmiało z talerzem w ręku ku nadjeżdżającemu towarzystwu.

— A bas gamin (na bok trutniu), krzyknęła żartobliwie młodziutka panienka, siedząca z fantazyą na koniu w ubraniu amazonki,—uderzając zlekka szpicrutą

małego żarłoka, który ścisnął jeszcze mocniej talerz i stał spokojnie, przypatrując się całemu orszakowi.

— Oryginalny bęben! szepnął jeden z podróżnych.

— Opiniâtre comme tous les juifs, odparła młoda dama, patrząc z odcieniem ironii na swego towarzysza.

Tymczasem zajechał przed stacyę powóz elegancki, zaprzężony parą rączych rumaków; z za półotwartych i uchylonych drzwiczek wyjrzała w poważnym wieku będąca dama, a w kilka chwil później mężczyzna wysoki, chudy z siwemi wąsami w poważnym wieku, zbliżył się do powozu w towarzystwie amazonki, która z radością witała się i pieściła ukochanego ojczulka.

Po przywitaniu się z żoną, zaczęło się serdeczne wypytywanie o dzieci i rodzeństwo w Warszawie. Amazonka zaś rzekła do mamuni z pewnem odcieniem jakby wyrzutu w głosie: — To sam tylko tatko przyjechał?. Złośliwy uśmiech przebiegł po twarzy pana Jana, który zdawał się tylko czekać na to hasło.

— Julek kłania ci się żonusiu i wszystkim, — cedził powoli i, szukając po kieszeniach, dodał powolnym głosem: — Mam tu zdaje się liścik do Geni, do tego trzpiota, ale może go zostawiłem w torbie podróżnej na stacyi.

— Tatku! tatku drogi, bez tortur — przerwała pieszczotliwie, całując czule ojczulka, który ukryty w zanadrzu zwitek papieru dał swej lubej Eugenii,

siadając jednocześnie do powozu, co pędem ruszył traktem Łopuszyńskim przez Miernów do Zadymowa. Panna Eugenija ciągle jeszcze czytała ów tajemniczy zwitek; ojciec z uśmiechem szczęścia na nią spoglądał, drażniąc się z nią od czasu do czasu, i w niespełna trzy kwadranse powóz zatrzymał się przed pałacykiem letnim w Zadymowie.

*

* *

Zanim przystąpimy do dalszego opowiadania, musimy zapoznać łaskawych czytelników z miejscowością i niektóremi osobami, wchodzącemi do naszego opowiadania.

Folwark Miernów był dziedziczną własnością Szumowieckich. Pan Kalasanty Szumowiecki wywodził ród swój od księcia de Kordelas. Tytuł ten rycerz z jego protoplastów miał podobno otrzymać od Bolesława Chrobrego za to, że mu na polowaniu przy majątku Kordelany życie ocalił. Gdy bowiem, tak opowiadał pan Kalasanty, powołując się na akta rodzinne Szumowieckich, gdy bowiem, panie dobrodzieju—powtarzał—dzik w pełnym biegu rzucił się ku królowi, nieustraszony przodek mój zastąpił mu śmiało drogę i jednem uderzeniem kordelasa dzika położył u stóp swego monarchy. W nagrodę czego otrzymał tytuł księcia de Kordelas na Kordelanach. Wyliczał on również w swej rodzinie kil-

kunastu marszałków, parę tuzinów krajczych, wojewodów bez liku, a nawet jednego hetmana, będącego z nim w blizkiem pokrewieństwie po kądzieli. Pan Kalasanty w razach wątpliwych, powoływał się na heraldykę i herbarze, co jednak nie przeszkadzało sceptykom nie wierzyć w jego szlachectwo, tak daleko sięgające i szumne tytuły. Niezależnie od tego służba nazywała go jaśnie wielmożnym — a na kartach wizytowych widniał jakiś herb niewyraźny i tytuł „Kalasanty de Szumowiecki" dziedzic na Miernowie.

Pan Kalasanty był to człowiek wysokiego wzrostu, tęgi, barczysty, głosu donośnego, miny pańskiej i imponującej; nic więc dziwnego, że wszędzie się starał wścibić, zabierać głos na zebraniach obywatelskich, w których doznawał zawsze strasznego fiasko, ale zdawał się wcale nie zwracać uwagi na przycinki i złośliwe wersye sąsiadów, którzy, hołdując prawom gościnności, tolerowali pana Kalasantego. Zjawiał się też często nieproszony na pikniki sąsiedzkie, wpadał niespodzianie jak „Deus ex machina, nie opuścił też żadnej sposobności wypowiedzieć panom sąsiadom „verba veritatis„ o opuszczonem gospodarstwie, dowodził o konieczności wprowadzenia płodozmianu, sztucznem mierzwieniu, o zbawiennych skutkach hodowania pszczół i pożytecznej działalności Muzeum Pszczelniczego i t. d.

Słuchającemu pięknych i budujących teoryj pana Kalasantego, nigdyby na myśl nie przyszło, że własnem gospodarstwem wcale się on nie zajmował,—

nie wypadało mu bowiem samemu trudzić się uprawą ziemi, przez wzgląd na znakomitych protoplastów i świetny ród, z jakiego pochodzili; tembardziej że miał dzielnego ekonoma pana Sulpicyjusza Wichurę, który porządki, rachunki oraz całą administracyję na Miernowie prowadził.

Zupełnym kontrastem pana Kalasantego była jego żona, Cecylija z Prużańskich Szumowiecka.

Pani Cecylija, wychowana skromnie i bogobojnie, zrozumiała zaraz po ślubie całą pozycyję. Przyjęła też w swej rodzinie rolę siostry miłosierdzia, cichej a posłusznej, skromnej a pokornej i ukajającej nieuniknione żądło życia. Był to anioł pocieszyciel, któremu dobry Bóg tyle balsamu i miłości wlał w serce, że go żadne zimno nie zlodowaciało, żadne zwątpienie nie zatruło. Przechowuje on się niezmiennie w sercach naszych matek, osłaniając się w miłej zieleni ciepła rodzinnego, i owiany radosnem i niewyczerpanem tchnieniem współczucia miłości i poświęcenia.

Pani Cecylija od pierwszej chwili zamążpójścia doznawała samych przykrości, rozczarowania i wstrząśnień bolesnych. I tak, folwark Zadymów w kilka miesięcy po jej przybyciu sprzedany został na licytacyi. Kupił go Icek Zalcer, pachciarz miejscowy, który z panem Sulpicyjuszem zdawał się w wielkiej być zażyłości, a gdy pani Cecylija, rozejrzawszy się w gospodarstwie zdrowem okiem gospodyni domu, zauważyła, że pan Sulpicyjusz ma cerę trochę ćwikowatą od ostrych napojów, a Icek kręci się swo-

bodnie po dworze, prowadząc ciągle konszachty, to z dziedzicem, to z Wichurą. Zwróciła przeto uwagę swego małżonka, że znajduje stosunek ten niewyraźnym i niezupełnie zgodnym ze szlacheckiem i przyzwoitem prowadzeniem domu,—ofuknął się pan Kalasanty i odpowiedział, że nie po to się żenił, aby się rozumu uczył, a Wichurę zna od dzieciństwa, jak również nieposzlakowany charakter Icka. Cesia rozpłakała się w swej komnacie i od tego czasu więcej żadnem słowem nie mięszała się do interesów i porządków administracyi Miernowa. Żyła w ciągłej tęsknocie, widując rzadko męża, który wybierał się to na jarmark wełniany do Warszawy, to na sesyję do Towarzystwa Kredytowego, to znowu na sąd polubowny, i każdą razą pozorował tak silnemi argumentami swe wyjazdy, że biedna Cesia żadnej mu nie śmiała robić uwagi, tracąc odwagę, by wpływem swoim zwrócić myśl jego i serce na własny kąt, zagrodę ojcowską, zostającą w rękach zacnego i nieposzlakowanego Sulpicyjusza.

Przed rodzicami nie chciała się zwierzyć, niechcąc męża ukochanego obrazić,—żyła tedy samotna i zgnębiona, aż Bóg dobry zesłał jej na pociechę anioła, w postaci złotowłosej dziewczynki przecudnej urody, którą przezwali Apolonija, Polcia, a zdrobniale Lunią.

Lunia, którą i my tak zwać będziemy, była jedyną pieszczotą swej matki, jej wypełniającą chwile samotne; nad jej kołyską modliła się i śpiewała cudowne hymny religijne, błagając Wszechstwórcę

o szczęście dla tego aniołka, który stał się teraz jej pocieszycielem w strapieniu.

Ileż to razy, mając serce przepełnione goryczą i duszę wzburzoną nawałem uczuć różnych, śpieszyła do kolebki dziecka, zalewając się gorącemi łzami. Mała Luńcia wyciągała drobne rączęta, obejmowała szyję rodzicielki, zdawała się rozumieć strapioną, — gdy matka, przez łzy uśmiechając się, obsypywała tysiącami pieszczot dziecinę, która tem uszczęśliwiona, wypogadzała cudne oblicze uśmiechem do ukochanej. Jakież morze rozkoszy leżało w tym niewinnym dziecka uśmiechu. Instynkt dziecka, jego przywiązanie mimowolne, był to pierwszy promień słońca, który rozgrzewał smutny horyzont osamotnionej, dlatego też lgnęła całą duszą do tej istoty. Widząc jedyną w niej pociechę i szukając spełnienia obowiązku postanowiła poświęcić się starannemu wychowaniu swej córeczki na dobrą matkę i obywatelkę, to też z całym zapałem oddała się swemu powołaniu. — Tymczasem różne klęski nawiedziły dom Szumowieckich, pan Sulpicyjusz Wichura został wmięszany w jakieś nieczyste sprawki i dostał się do więzienia w Chęciniach na trzy lata, pan Icek zaś Zalcer, zostawszy panem Zadymowa, założył Towarzystwo eksploatacyi buraków i cukrownię na wielką skalę, po kilkunastu latach został dyrektorem i pierwszym akcyjonaryjuszem cukrowni Zadymów, i dziedzicem dóbr Stawki z przyległościami i Miernowa, który również sprzedany został na licytacyi, pan Jan Zelcer jednak zostawił go na dożywocie panu Kalasantemu.

Pan Szumowiecki bowiem, będąc już w wieku podeszłym, gdy mu się próżniactwo sprzykrzyło, a obiadki sąsiadów oraz mówki przestały go nęcić, przyjął posadę magazyniera w cukrowni Zadymowskiej.

Pan Jan, przydomek naprędce ukuty z Icka, zostawszy panem Zadymowa zmienił i nazwisko na Solski,—(a robił to niechętnie i to na usilne naleganie całej prawie rodziny), prowadził dom na wysoką skalę, miał swój pałac w Warszawie, gdzie mieścił się jego kantor główny, letnie zaś miesiące rodzina jego przepędzała w Zadymowie, gdzie również śliczną willę sobie wybudował na folwarku Kordelanach niegdyś stanowiącego chlubę pana Szumowieckiego, a dziś zamienionego na cały niemal uczątek fabryczny.

* *
*

Dworek schludny, otoczony wyniosłemi lipami, zarysowywał się w dali na horyzoncie. Cisza panowała dokoła, przerywana tylko to świergotem ptactwa domowego, to słabo dolatującem echem wykrzyków pastuszych, przeplatanych warczeniem i sykiem pary z machin parowych, uczątku fabrycznego nieopodal położonego. Warczenie spanoszonego brytana domowego, głębokie tony piszczałki, szmer pszczół i zuchwały świst prześladującej jej pliszki, uzupełniały całość tego obrazku. Smętne i tkliwe wrażenie obejmowało cię mimowoli, i gdy dworek, otoczenie i ca-

ła niemal natura zdawała się oddychać swobodą i weselem, człowiek sam tylko, jakby pod wpływem nieokreślonego uczucia smętnieje, poważnieje, dziwną tęsknotą, jakby niepokojem serce jego się zapełnia. Szelest listków, powiew latorośli, wonny zapach róży, a nawet skromny i w gęstwinach heliotropu ukryty fijołek zdaje się tu oddychać nienaturalnem, sztucznem życiem. Panuje tu w całej wegetacyi jakiś anormalny rozdźwięk, dysharmonija jakaś dziwna w samym ustroju przyrody. Jestto kapryśne dziecko, niepochwytne, ulotne, tajemnicze,—a jednak dziwną swą i oryginalną treścią przyciągające, smętne i powabem a urokiem jakim dziwnym jaśniejące. Nie zdając sobie sprawy z kapryśnych wrażeń, zajrzyjmy do wnętrza tej letniej rezydencyi.

* * *

Dworek budowany był nie podług staroświeckiej formy, ale w stylu gotyckim z francuzka zwanym „renaissance“. Mała tylko wieżyczka, górująca nad całym budynkiem, zdawała się coś oryginalnego stanowić, a architektoniczne jej wykończenie, pozując swą powagą, zdawało się swą powierzchownością coś rycerskiego przypominać i imponować całemu budynkowi. Dysharmonija przyrody zdawała się tu harmonizować z formą zewnętrzną, i że tak się wyrażę, dysonansem jaki odbijał z zewnętrznej struktury w Zadymowie.

Dworek t. j. zabudowanie rozdziela się na dwie części oddzielone obszerną sienią, służącą jed-

nocześnie za przedpokój, przedsionek i rodzaj poczekalni. Z prawej strony były drzwi wchodowe, nad któremi widniał napis francuzki „comptoir", na pozłacanej blaszce na tle niebieskiem, z lewej strony elegancki napis na drzwiach „Jan Solski", z boku zaś dzwonek z białą rączką, na której wyraźnemi literami na rękojeści było wypisane „Bitte zu drücken". Porównywając napis kantoru z napisem na rękojeści dzwonka, już etymologiczne nasunęło nam się pytanie: kto zamieszkuje ten dworek i jakiego właściwie języka użyć, aby godności domu nie ubliżyć?. Z prawej strony był kantor, składający się z obszernego pokoju i przyległego gabineciku. Urządzenie wspomnionego lokalu, rozstawienie pultów znamionowało znajomość fachową i porządek. Każdy klijent załatwiony bywał przez właściwego urzędnika bez straty czasu, panował tu w ogóle ton poważny, czysto kupiecki,—a nawet zaproszeni do owego gabinetu dyrektora niebawem wracali! Wszystko szło tu po utartej drodze tak punktualnie i równomiernie, jak pozycye „winien" i „ma" systematycznego księgowania.

Z drugiej strony były pokoje, przeznaczone na letnie mieszkanie państwa Solskich. Naprzód był obszerny pokój bawialny, za którym szedł gościnny i spiżarka. Z prawej strony pokoju bawialnego był wchód do pokoju dziecinnego i innych apartamentów, urządzonych dla przepędzenia letniego sezonu. Panowała i tu wszędzie miła harmonija, z każdego kącika tchnęło elegancyją i wygodą,— i wszy-

stko jakby w świąteczne i sztywne przybrane szaty. Wszystko było tak równo i systematycznie uszykowane jak do boju, — wazony kwiatów tak wyniośle zdawały się trzymać, jakby impertynencko przemawiały: Nie dotykaj mnie, mym zapachem nie delektuj się tak zbytecznie, bo my stoimy dla naszych państwa i dla tych, których oni postanowili uważać za swoich równych i ze względów z góry ułożonych, w swych pięknych przyjmują apartamentach.

Dom ten robił wrażenie kościotrupa w pyszne i świąteczne ubranego szaty, obojętnego na wszystko,—zimnego jak grób, a poruszajacy się za zaklęciem tchnienia materyi, statua ożywiajcego się dźwiękiem złota, — syrenim powabem lutni Merkurego. Ztąd to tłomaczy się owa instynktowa detrakcya, owe ckliwe i dziwne wrażenie, jakiem otoczenie w Zadymowie mimowoli i bezwiednie cię ogarnęło.

* *
*

Tak się rzeczy miały w chwili, gdy pan Jan po dłuższej podróży za granicą wrócił do swej posiadłości jak o tem telegrafował poprzednio na dni kilka, aby w gronie rodzinnym nieco odpocząć. W całym domu panowało istne ożywienie, gdyż pan Jan był człowiekiem bardzo miłego temperamentu, lubiał wesołe towarzystwo, i dla uprzyjemnienia sobie czasu często osobiście jeździł zapraszać państwa Szumowieckich, w towarzystwie których bardzo chętnie przebywał. Szczególniej od czasu zaręczyn panny Eu-

genii z prokurentem firmy „Jan Solski", panem Julijanem Zelcerem swym kuzynem, ta ostatnia, potrzebując się przed kimś zwierzyć ze swych uczuć, a znając charakter łagodny i dyskretny panny Apolonii, robiła z niej powiernicę swych myśli i tak się zaprzyjaźniły iż prawie nie było dnia aby po kilka razy dziennie nie widziały i nie znalazły bogatego tematu do wzajemnego wynurzania się ze swych wrażeń, w które dwie te istoty zdawały się być tak bogate i niewyczerpane.

Mimo pozornej zgody były ciągłe prawie sprzeczki między panną Apoloniją a Eugeniją, mające swe źródło w różności ich poglądów na życie, ztąd wnioski nierówne o tendencyi i celu dążności człowieka w ogólności, a w szczególności, o roli, jaką kobieta w społeczeństwie zajmuje. Gdy u Eugenii kobieta była osobą bierną w znaczeniu ogólnem, a czynną i imponującą w życiu domowem, u Apolonii było odwrotnie, w życiu handlowem kobieta według niej jest osobą bierną, jako człowiek z siłą intelligencyi i ruchu etycznego występuje czynnie w społeczeństwie i rodzinie. Eugenija była średniego wzrostu, zgrabnej kibici i tak wiotkiej, że mogłeś ją dłonią objąć, cerę miała śniadawą, oczy niebieskie, nos cokolwiek zgięty à l'oriental, ruchy przyjemne i wdzięczne. Jednem słowem Eugenija była interesującą. Szczególniej, gdy rano w ubraniu lekkiem z warkoczami zwisłemi, uśmiechała się spieczone usta paliły się pod gorącem tchnieniem, a pierś wzdęta i na wpół zgięta postać robiły z niej istotę ponętną. Nęciła ona zmysłowem jakiemś pragnieniem, zapożyczonem z romansów Zoli, które-

nie brakowało, nie brakuje i prawdopodobnie brakować nie będzie... Jednym z najstalszych jej adoratorów był pan Edmund Bogusław, dwóch imion, Piekarski.

Pan Edmund był urzędnikiem ruchu przy jednej z kolei, sprzykrzył sobie małą pensyjkę, jaką pobierał, i nawał pracy, którą naczelnik stacyi na biednego walił referenta, postanowił przeto bogato się ożenić i rozpocząć zawód handlowy, do którego zdawał się mieć pewne zamiłowanie.

Pan Edmund człowiek średniego wzrostu, o wyrazistych rysach twarzy, szatyn, twarzy okrągłej, z wyniosłem czołem i bródką à la Mierzwiński, był jednem z tych pospolitych i przeciętnych typów, jakie na bruku syreniego grodu tak często napotykamy.

Pan Edmund pozostawał ciągłe w jakiejś apatyi, (trywialnie się wyrażając, ciągle zdawał się być zmęczony, czy śpiący), w zajęciach zachowywał powierzchowną skrupulatność, prawie pedanteryję — a przynajmniej bardzo mu pochlebiał przydomek pedanta. Faktycznie zaś czynności bieżących zwykłym porządkiem biurowym nie lubiał załatwiać, przechowując pojedyncze referaty do szuflady swego stolika lub do portfelu. Dopiero pod naciskiem zwierzchników, gdy już dłużej nie można było ciągnąć, zaczęło się porządkowanie papierów i dochodził wtedy pan Edmund do zawiązku instytucyi,—i „ab ovo“ przedmiot zwykle zaczynał. W tem to miała się mieścić owa pedanterya, która taką dumą napełniała pana Edmunda. Nie wchodzę w to,

mi ją karmiła stara guwernantka francuzka, — ale nie było w niej tego natchnienia wzniosłego, tej poezyi życia, tego etycznego piękna, które, porywając duszę i serce, do szlachetnych i podniosłych pobudza nas czynów.—łącząc dusze węzłem zobopólnej dążności moralnej. Otoczenie, w jakiem wyrosła, okoliło tę duszę pancerzem materyjalizmu i wszystko, wszystko za sobą porywało. Tak jest, marzenia dziewicze, najpiękniejsze sny młodości —pajęczyna purpury życiowej, wszystko utonęło w czystej kalkulacyi,— w cyfrze. Były chwile, w których Eugenija inną się wydawała, ale były to tylko porywy nieokreślone, bezwiedne przeczucia etyczne, które, jak błędne światełka, powstawały bezwiednie i bezpowrotnie znikały. Pesymiści upatrują przyczynę nienormalności takiego zjawiska w spaczonem i nieracyonalnem wychowaniu, działającem więcej na fantazyę jak na uczucie i serce, podczas gdy należy wszczepiać w młodości piękne zasady i cnoty, aby w przyszłości bujne i zdrowe wydawały owoce.

Wychowanie takie porównywają też do lokomotywy, — puszczonej w ruch siłą pary bez kierownika. Wykolejenie wówczas jest rzeczą widoczną, nie wliczając nieprzewidywanego zła, jakie osobom trzecim swem wykolejeniem grozi.

Postępowanie panny Eugenii w towarzystwie, mimo tego że była zaręczoną i mimo ciągłych uwag przyjaciółki, było tak dwuznaczne. że miała zawsze około siebie rój wielbicieli, których nigdy na tym Bożym świecie przystojnym i bogatym pannom

czy filozoficzne zapatrywania nie znalazły uznania u Zarządu, czy też panu Edmundowi sprzykrzyła się praca tak niewdzięczna i monotonna, dość, że opuścił swą posadę w celu objęcia wkrótce posady dyrektora w jednym z Banków Handlowych syreniej stolicy.

Pan Edmund, zapoznawszy się z panną Eugeniją, widząc w niej świetny materyjał dla swych planów na przyszłość, rozwinął całą siłę swej inteligencyi — i snuł różne kombinacye, stanowiące w jego bogatej wyobraźni cudny i żelazny most, po którym Rubikon życia miał być dla niego najpiękniejszym i w cudne arabeski ozdobionym rajem ziemskim. Kapitału i stosunków mu tylko brakowało do osiągnięcia wysokich rezultatów na polu ekonomicznem, a wtedy pokazałby światu całą swą wielkość i uzdolnienie, o którem ani na chwilę sam nigdy nie powątpiewał. Zmieniał też często taktykę w postępowaniu, był naprzemian czułym, idealnym, wzniosłym, to znów wpadał w zadumę, w nastrój lekceważący (blasé) lub poważny, stosownie do usposobienia panny Eugenii i ostatniego romansu jaki czytała. Szło mu to dość gładko, pan Edmund bowiem, mimo pewnej ociężałości indywidualnej, miał spryt a nawet wysoki spryt, obejmował pewne sytuacye odrazu, rozumiał je i odpowiednie wnioski dość logicznie wyprowadzał. Umiał ze wszystkiego korzystać i tak się przedstawić, że mimowoli wszyscy go uważali za bohatera, człowieka pełnego elegancyi, rozumu i wykształcenia. Pan Julijan zajmował się więcej interesami jak

narzeczoną, i nic dziwnego, że powoli udawało się Edmundowi wchodzić razem z Eugeniją na ów cudny most z asbestu, który ich miał zaprowadzić do krainy szczęśliwości i marzeń.

* * *

Widzę, łaskawe czytelniczki, nadciągającą chmurę, brwi wasze piękne zmarszczone, uśmiech politowania na pięknych waszych usteczkach i z oburzeniem odsuwacie moją nowellę, jakkolwiek ciekawość zmoże tę niechęć na widok Iserka małego kartoflarza, którego chciałem jako malca ukryć, a który na przekór mnie i wam wyrasta jak na drożdżach. Nie jestem silniejszym od wypadków i muszę takowe opisywać, jak po sobie następowały; musicie tedy, szanowne panie, przyjąć Iserka takim, jakim on jest, a czas, który wszystko łagodzi, może i uśmiech przebaczenia wróci na zadowolone wasze i zarumienione twarzyczki.

Od czasu opisywanych wypadków przeszło lat kilka, kilka lat burzliwych i smutnych, wiele się zmieniło, firmy znaczne poupadały, inne znowu wysunęły się na widownię. Pan Juljan Zelcer, którego nie zdołaliśmy nawet opisać przepadł bez wieści, jedni mówili, że zginął, drudzy, że wyjechał do Ameryki; dziwili się tylko wszyscy że Eugenija za mąż nie wychodziła, przeszła już bowiem z górą trzeci krzyżyk, spoważniała, trochę zmizerniała; niektórzy

utrzymywali że wyjdzie za pana Edmunda, który później przyjął posadę w kantorze warszawskim u pana Jana, inni utrzymywali, że kochała Julka i zaprzysięgła dochować mu wiary. Pomimo zmiany wieku Eugenija zdawała się być jeszcze piękniejszą, oczy nabrały większego połysku, na twarzy większa malowała się powaga. Z zapałem poświęcała się muzyce, którą pokochała z całej duszy, i, w akordach nieraz zatopiona, zapominała o świecie i o wszystkiem. Pan Edmund, dostawszy posadę, także dziwnym sposobem znajdował się na drodze rehabilitacyi,—mniej bywał u państwa Solskich, pracował bardzo pilnie w biurze: pierwszy przychodził, a ostatni zawsze wychodził.

Dziwna rzecz, nie poznałbyś ani tych ludzi, ani tych charakterów; powiedziałbyś, że nowy świat ci się przedstawia—nowi ludzie. Pan Edmund został człowiekiem zupełnie na miejscu, prócz pracowitości, i pilności, cechowała go elegancyja i przyzwoitość. A Eugenija? pracowała ona również w swoim zakresie, uczyła młodsze siostry, haftowała, malowała, grała, czytała najnowsze utwory literatury, rzeczy pożyteczne, a nawet, o zgrozo! prowadziła rejestr wydatków gospodarskich.

Tak, drogie czytelniczki, — nieprawdopodobne to, a jednak prawdziwe. Osoby te istnieją nie w fantazyi, nie w mrzonkach, ale pracują z pożytkiem dla naszego społeczeństwa.

Zmiany te spowodował czas, który w swym biegu niszczy lub buduje, wali gruzy, aby żywsze i piękniejsze budować pałace.

Niemało się też przyczynił do tej zmiany mały nasz Isserek i panna Apolonija, którą ciągle spotykamy w domu Solskich, to na wsi, to w Warszawie, prawie zawsze uśmiechniętą, z marzącym wyrazem na anielskiej twarzy. Ona to ręka w rękę z Isserkiem cały prawie dom do niepoznania zmienili.

* * *

Abram Zelcer był to rodzony brat Icka Zelcera, a właściwie pana Jana Solskiego. Zamieszkały w Suchedniowie od wielu lat, trzymał tamże mały sklepik wiktuałów, a zebrawszy kapitalik, zaczął sprowadzać cukier i inne towary, to z Rytwian około Staszowa, to z Kazimierza około Wiślicy pełnemi brykami.

Abraham Zelcer zyskał sobie sławę w okolicy ze słowności i usług rzetelnych, nie pragnął cudzym bogacić się mieniem, ale swoje zapracowane pilnował. Takim był Abram Zelcer, gdy raz w Warszawie dowiedział się o sławnych jarmarkach w Lipsku i innych ważnych punktach Rosyi i zagranicą. Abram pojechał raz na jarmark, a gdy spekulacya mu się udała, wywiózł bowiem do Lipska znaczny zapas futer, sprzedał je zyskownie, natomiast sprowadził

w zamian towary galanteryjne, które w Warszawie prawie podwójną miały cenę. Abram tedy, otarłszy się o świat i ludzi, widząc potrzebę dawania i drugim dzieciom lepszego wychowania (Juljan najstarszy syn jego był bowiem wtedy już na świetnej posadzie), przeniósł się do Warszawy, gdzie kupił sobie dom i stale się tu osiedlił. Mógłby był rzeczy łatwo sprzedać na miejscu, ale pan Abram miał przekonanie, że trudno rzeczy nabyć, pozbyć się łatwo. Nigdy też niczego ze sprzętów nie sprzedawał, mówiąc, przyda się to, przyda!

Takim sposobem jednego pięknego poranku pakują rzeczy na ładowane wozy i do Warszawy się przenoszą. Radość małego ciekawego Isserka nie miała granic, otwierał w podróży oczęta na wszystkie strony, wypytując o najmniejsze szczegóły, a zobaczywszy rogatki Jerozolimskie i kolej, przechodzącą około ulicy Żelaznej, omało co ze skóry nie wyskoczył, tak go to zaciekawiło i bawiło. Niezwłocznie też pan Abram zainstalował się w swej nowej siedzibie, do której tak długo i tak gorąco wzdychał, uważając za największe dla siebie szczęście mieszkać w Warszawie we własnym domu. Ze stolicy tej bowiem dochodziły na prowincyję dziwne i cudowne pogłoski, w najpiękniejsze ubrane barwy, to o zamku królewskim, to o parku Belwederskim, o ogrodzie Saskim, o teatrach, cyrkach, pałacach hrabiowskich i magnackich, tak, że każdy od dzieciństwa potajemnie wzdychał do tego uroczego miasta, nie darmo syrenim przezwanego grodem. Nie dziwmy się więc

radości pana Abrama, zostawmy go raczej jego zachwytowi i powróćmy do przerwanego toku naszego opowiadania.

Dla ciekawego Isserka otwierał się świat nowy. Od czasu kiedyśmy go ostatni raz spotkali, był trochę starszy, przygotowano go też bardzo łatwo do gimnazyum i świetny zdał egzamin, przechodząc z promocyą wszystkie klassy i skończył w lat kilka gimnazyum, i wstępując na wydział inżynieryi akademii „dróg i mostów“ w Petersburgu. Do fachu tego Isser Zelcer miał wielkie zamiłowanie. W żaden jednak sposób nie chciał przyjąć przydomku Sebastyana, mimo nawet usilnego wstawienia się swej kuzynki Eugenii, która mimo takiej w charakterze rehabilitacyi, nie mogła gładko imienia tego bez komicznego uśmiechu wymówić.

Ale nie tak łatwą była z Isserem sprawa. Już w pierwszej klassie, gdy go nauczyciel w liście uczniów przeczytał jako Sebastyana, śmiało wstał z miejsca, podniósł dwa palce do góry i rzekł wyraźnie: Przepraszam pana profesora, nazywam się podług metryki: Isser Zelcer.“ Koledzy początkowo drwili z niego, ale gdy od pucułowatego i krępego żaka niejeden guza oberwał, widzieli, że z Isserem niema żartów, że nikomu nic nie podaruje, dali więc spokój i nazywali go Isserem bez uśmiechów i szeptów. Byli nawet tacy, którzy z powodu jego otwartości i koleżeństwa nazywali go „poczciwym Isserkiem,“ ale i gdy ten przydomek naszemu malcowi nie dopisywał, nazywali go poprostu Isserem. Takim go wi-

dzimy, jako dzielnego chłopca lat ośmnastu, któremu ledwie ciemny puszek zaczął się pokazywać w postaci małych wąsików na męzkiej i sympatycznej jego twarzy, pełnej życia i intelligencyi, z której patrzały na cię piękne i przenikliwe oczy. Jednem słowem Isser Zelcer był bardzo sympatycznym i interesującym młodzieńcem szczególniej, pan Jan, człowiek zimny i nieczuły pozornie, bardzo polubił naszego bohatera i zawsze go osobiście ną letni sezon do Zadymowa zapraszał i brał ze sobą.

Isserek nieczęsto wdawał się towarzystwu Zadymowskiemu, często przepraszał wszystkich i w pokoju gościnnym, dla niego przeznaczonym, oddawał się studyjom, zjawiając się dopiero prawie w końcu zabawy, gdy trzeba było pannę Apolonije odprowadzić do folwarku Miernów, odległego blisko o półtory wiorsty od willi Zadymowskiej. Wtedy to pan Isser był prawie zupełnie cichy i niemy, zdawając się skrupulatnie wypełniać obowiązek towarzysza i opiekuna w drodze. Na zadawane pytania odpowiadał krótko i treściwie, nowych tematów nie szukał; ale droga ta miała pewien niewysłowiony dlań urok, czuł się szczęśliwym, pewne uczucie błogości owładnęło nim, z którego sobie nie mógł zdać sprawy.

Panna Apolonija Szumowiecka była panienką rzadkich przymiotów serca i duszy,—nie było w niej tego wyrafinowania, tej obmierzłej kalkulacyi, jaką Isser od dzieciństwa był otoczony, i która go gryzła do szpiku kości. Nie pragnąc się od swego ode-

rwać społeczeństwa, broniąc go wciąż całym zapałem młodocianej i goracej duszy, nie mógł kryć przed samym sobą pewnego obrzydzenia, jakiem dusza jego była przepełnioną wobec ciągłego liczenia, brania pod rachubę cyfr, najdroższych człowiekowi związków moralnych uczuć. Jakże zmienną przedstawiała się Apolonija. Jej prostota, jej naturalnie niewymuszone ruchy, dobre i staranne wychowanie, cała jej istota, będąca tak dobrze, tak pięknie ułożona, ileż uroku w sobie mieściła.

Pięknością nasza bohaterka nie była, szczupłe, niepokaźne rysy, dość zwyczajne, prawie powszednie, nic w sobie oryginalnego nie miały, ale ta prostota rozlana na jej twarzy, ta pewność siebie, ta pogoda czoła, ta bystrość i szczerość spojrzenia znamionowały bogactwo jej duszy i zalety serca; jakiemś cudnem namaszczeniem piętnowały ją i mimowoli chwytały za serce. Jakże ona była prostą a jednak zachwycającą. Blizkość jej uszczęśliwiała i nieznaną dotąd rozkoszą napełniała duszę naszego bohatera, a jednak niewolno mu było się nią zachwycać. Leżała między nimi przepaść, zapora przez kościół i państwo ustanowiona. A ona? I ona niepostrzeżenie i mimowoli wlepiła swe cudne źrenice w twarz młodziana, zdawałoby się, że serce jej bije przyśpieszonem tętnem, oczy rzucały jakby iskry, z których promienie przedostawały się w duszę Issera i tam znalazły oddźwięk tak harmonijny, że zdawały się jedną stanowić duszę. Tak, były to chwile urocze, jedyne, niezatarte, w których je-

dnoczyły się ich dusze węzłem pokrewieństwa idealnego, chwile różane, które ryły się w nich na wieki.

Przez czas pobytu w instytucie naukowym pan Zelcer przyjeżdżał co rok na wakacye do Warszawy, zkąd na kilka tygodni przybywał do Zadymowa. Stosunek z rodziną swego wuja i pracę jaką sobie zadał razem z Apoloniją, zmieniły do niepoznania cały kierunek domu; to też pan Jan, który, jako człowiek wiekowy i mający praktykę życiową, serdecznie był im obojgu wdzięczny za tę zmianę. I pan Edmund nowszy swój kierunek im zawdzięczał, gdyż po kilku latach, zmieniwszy przydomek Bogusława, zapożyczony od jednego z bohaterów Sienkiewicza, został szczęśliwym małżonkiem Eugenii, do której prawdziwie i serdecznie się przywiązał.

Co się tyczy naszego Issera, to otrzymał on po ukończeniu uniwersytetu świetną posadę. Z Warszawy przyjechał na czas krótki. Jakaż była jego radość przy spotkaniu się tu z panną Apoloniją. Opowiedziała mu ona w krutkości, że ojciec ją odumarł, i że wraz z matką zamieszka w Warszawie, zajmując się lekcyami prywatnemi i starając się o posadę nauczycielki prywatnej. Nasz bohater, cały w ogniu, gotów był paść jej do nóg i wyznać wszystko. Ona może zrozumiała go, spojrzeli na siebie, podali sobie ręce, chcąc się rozejść może na zawsze, na wieki. W ostatniej tej chwili złamana, zgnębiona, padła w objęcia młodziana, który ją jak świętą do serca przycisnął i stał wyprostowany, wzniosły. Lekki wietrzyk rozwiewał cudne jego kędziory

hebanowe, zarumienione oblicze zdawało się olśniewać pięknością Endymiona. W twarzy jego przebijała się surowość Mojżesza prawodawcy z miłością dla ideału złączona. Śledziłem go z za krzaka, a była to chwila urocza, wzniosła, — on objął drogą jej kibić, spojrzał jeszcze raz w oczy, złożył pocałunek na jej czole i, z namaszczeniem podnosząc rękę w górę, rzekł: „W imię Boga bądź silną i błogosławioną.“— Jeszcze raz ich wzrok się spotkał, ich dłonie się splotły i jakby w konwulsyi, zanim nasz bohater mógł się spostrzedz, rękę jego do ust podniosła i znikła.

„Oby ich Bóg każdego oddzielnie do szczęścia prowadził“, rzekłem z za krzaka, i widzenie znikło. Po kilku latach spotkali się znowu, ale każde na swojem stanowisku śmiało, sumiennie swe wypełniając obowiązki. Zdołałem zaledwie zdążyć do drukarni, aby się mą wiadomością podzielić z łaskawemi i nadobnemi czytelniczkami mej nowelki.

K O N I E C.

PUSZEK I INFLUENCYA

FRAGMENT

Ze wspomnień prawdziwej influencyi.

Dziwnie się jakoś plecie
W tym tu fabrycznym świecie.
Ex-Malczewski.

Jestem puszkiem owocowym, — nieznanym, maluczkim. Każdy mnie w rękę bierze, — jedni połysk mój niweczą połą od kapoty obcierając, delikatniejsi chusteczką jedwabną, fartuszkiem niewinne i figlarne dzieweczki, urwisy i żaki swawolne kamieniami rzucają, aby mnie strząść z owocu i drzewa, gosposie mnie czasem z cukrem i miodem w garnkach smażą na powidła i przysmaki różne, cukiernicy w ciasta gniotą mnie bez litości wraz z owocem, i jest mi źle, bardzo źle. Najwięcej dokuczają mi komary i feljetoniści, pierwsi chmarami jakby

szarańcza koło mnie przeciągają, połysk mój zacierają, gniotąc mnie i owoc miażdżąc, feljetoniści znów swym rozumem, szyderstwem i sceptycyzmem. . Tak, cichym i przerywanym,—a ledwie dosłyszalnym szeptem skarży się biedny puszek...

Przez chwilę zdawało się, że niema żadnej odpowiedzi, że jęki te skonają w eterycznych przestworzach, biedny puszek jeszcze się bardziej stulił w błękitach swego płaszcza szarawego... zatopiony w nadziejach...

Aż tu słyszy naokoło siebie jakieś niezrozumiałe szepty, — czemże ty jesteś marny puszku,— ochraniasz niby owoc, w pyszny go płaszcz aksamitny i lśniący odziewasz, — ależ co mu dajesz swym blaskiem? Jaki twój smak? jakie twe atrybucye, zalety i własności? — marny puszku?

Nad samą powłoką jakiś mądry feljetonista bez ceremonii się przesunął, musnął koło samego nosa...

— A co, trafiłem w samo jądro, — krzyknął amfatycznie ów feljetonista...

— Zdruzgotałem go — rzekł drugi... a puszek biedny, wzgardzony, cicho a skromnie połyskuje owoc chroni i zdobi... bez niego niema w nim smaku ani połysku, niema życia harmonii ni piękności... w roślinie, w najdoskonalszej nawet roślinie. Puszek jest ozdobą i duszą rośliny prawie, — dlatego mimo miernoty, ma zazdrośnych wrogów, — tylu niepokonanych, zaciętych wrogów...

A jednak ma on wysokie znaczenie jako środek lekarski w medycynie, — podczas grasującej np. influencyi...

Muszę go tedy opisać bliżej, jaśniej, śmielej... wszystkie atrybucye jego i w medycynie — i życiu ludzkim zastosowania.

* * *

Śmiało, a naprzód, łatwo to jest powiedzieć, a wykonać trudniej, od czegoż tu zacząć, doprawdy zaczynam już żałować, że się wdałem w nie swoje rzeczy. Chciałoby się frunąć, wzlecieć wysoko wyżej a skrzydeł ci brak i musisz po ziemi brnąć, a tu błota po uszy, źle, mieszają się myśli, fantazya majaczy, ho! ho! a tu mrowie cię przechodzi, czy to nie czasami influencya... tu się ocknąłem; a choćby i od niej zacząć, — przychodzisz gościu nieproszony niech cię chociaż opiszę... eureka! tedy w górę influencya..., Musnął mnie puszek delikatnie,— strzeż się bracie niestrawności, zachowaj dyetę,—nie biegaj za szybko, nie stąpaj, zbyt wolno, — a bądź uważnym i względnym... nie fruwaj balonem Leroux, bo możesz się spotkać z konstelacyą Falba, to będzie źle, bardzo źle. Musnął tylko koło mej fantazyi, miły i modry puszek,—a lżej mi trochę, zdaje się, że nowe życie we mnie wstąpiło...

Nie przeraża mnie nic, nawet influencya, bo ona przejdzie... jak meteor, a słońce na horyzoncie, weselej i milej... zajaśnieje. Dzięki ci puszku.

* * *

Influencya bowiem jestto jedyne obecne brzmienie, które tysiącznem powtarza się echem. Przyjąłeś na się obowiązek, dałeś słowo honoru, — masz płacić w terminie weksel, za który bezinteresownie poręczył przyjaciel, i masz najlepsze chęci spełnienia obowiązku, dotrzymania danego słowa honoru, zapłacenia wekslu, nawet sobie termin zanotowałeś w eleganckim notesiku safianowym, aż tu bezwiednie dostajesz dziwnego w głowie zamętu, w sercu i duszy jakieś nieznane burzą się elementy, — a to dziwne, tak tobą wstrząsają jak w febrze,—gorączka cię trawi, zapominasz o obowiązkach, zobowiązaniach, — o całej dążności, dusza twa jakby gdzieś uleciała, sumienie ukryło i w jakiemś żebrze utonęło, a tyś niewinien, wcaleś niewinien, boć to influencya, najzwyczajniejsza a peryodyczna influencya... a puszek znowu mnie musnął, — widziałem drugą stronę medalu, — słowa dotrzymane, weksle zapłacone, mniej dbasz o afiszowanie obowiązków, a ścislej je wypełniasz — nos twój nie wyciągnięty na kwintę — ale raczej podajesz rękę do uścisku, — dla białogłowy masz mniej humoru, afektów i namiętności — a więcej powagi i szacunku... Dzięki ci puszku... Bóg zapłać.

* * *

Znajdujesz się wśród rodziny ukochanej, — otoczonej wygodami i zbytkami, masz perspektywę zostania kupcową, bogatą kupcową... noszenia atłasów

i czepków różnokolorowych, rozpościerania się w powozach o lekkich resorach, kpić sobie ze swych bliźnich. Jesteś młodą i piękną, życie w całym blasku ci się uśmiecha; ale twe pragnienia są innego rodzaju, dziwne, oryginalne, nie znajdujesz szczęścia w tej rozkoszy światowej, duszno ci w tej atmosferze, ciasno, myślą przenosisz łachmany nędzarzy, nad drogie aksamity i hafty, uśmiech twój znika w salonach, a wraca ci pod strzechami nędzarzy, które tajemnie odwiedzasz. Spiżowe twe lice uśmiecha się tylko, gdy ulgę bliźnim zwiastuje...

Życie jej przechodziło między zwątpieniem a nadzieją... Ciągła zmiana wrażeń. Nareszcie miały się jej nadzieje ziścić, miała zostać kupcową jak wspomniałem, bogatą kupcową, a to szczęście tak ją nagle ogarnęło, tak ją to zastało niespodziewanie, że duszno jej się zrobiło, tchu jej brakło od zbytku szczęścia, — i dusza jej uleciała przed czasem w światy lepsze...

Toć tak u nas silna influencya... takie dramatyczne jej odmiany.

Tu puszek mnie znów musnął...

Widzisz, rzekł, to ostateczność. Za dużo nauki za mało wiary. Za dużo myślała biedna, za mało czuła. Do zenitu wznosiła się duchem, a po ziemi nie umiała chodzić... Żal mi jej biednej, mruknął puszek... Ale konsekwencya niezbędna... Gdy umysł buja wysoko, serce musi go przewyższać uczuciem, miłością, poświęceniem i trzymać go uwięzionego na ziemi, bo frunie do aniołów, wyżej... ale

chybi przeznaczenia... Westchnął puszek i znikł. Przykro zrobiło mi się na duszy, i łza zakręciła się w oku. . kto ją wycisnął... biedny puszek.

*   *   *

Zlicytowałeś mienie hrabiego X. a z jego wujenką syna swego ożeniłeś... gdy się wnuczeta pejsami twemi bawią, — a karmazynowy chałat pod gwiazdkę zaścielesz, uśmiech niewytłomaczony igra na twem licu, dziwne cię mrowie koło serca chwyta... nie wiesz czy to radość czy tęsknota, rozpacz czy zemsta, marzenie czy rzeczywistość... uczucie jakieś dziwne, chwiejne, trzęsie tobą, niby febra, macasz za skroń czy nie śnisz, dusi cię i obciąża magiczne to widziadło, boć i to influencya, — nic jak grasująca, z braku dyety powstała, a peryodyczna influencya.

*   *   *

Budujesz dla chorych zakłady dobroczynne, a ile łez zdrowym wyciskasz, wydajesz miliony na zreformowanie mechanizmu twych fabryk, — a nic nie zrobisz na ulżenie doli i polepszenie materyalnego i moralnego bytu twych pracowników .. barykadujesz twój egoizm w Towarzystwa Akcyjne, a czem zapewniasz byt tylu biednych w pracy wynędzniałych rodzin, co uczyniłeś dla ulżenia ich nę-

dzy... Gdy ci głośne czyny imię w potomności zachowają, gdy wielkie dzwony, ołtarze kadzideł twej wznoszą filantropii... dziwne mrowie po twem się snuje sumieniu. sny ci fantazyę mącą — widzisz we śnie nieboszczyków z uciętemi rękami, — wdowy ich opuszczone, sieroty biedne bez dachu i przytułku... Dziwny chaos koło twej duszy, świat duchów i upiorów sen ci z powiek odgania, twarz twa przybiera dziwny wyraz złowieszczy i zamknięty w sobie prawie cyniczny, i wtenczas nié jesteś do siebie podobny, drażni cię wszystko, niepokoi, jesteś jakby w febrze, członki ci kostnieją; szpik zamarza w kościach, o! to influencya, to prawdziwie dzika, — aczkolwiek krótka influencya...

* * *

Wszystkie miasta drugorzędne szczególniej fabryczne wzdychają doześrodkowania swych interesów, — do giełdy. Niejedno bankructwo byłoby uchylone, inne mniej dotkliwe dla handlu i przemysłu. Giełda taka związana wzajemnym interesem z ruchliwemi punktami handlowemi w Cesarstwie i za granicą, mogłaby stosunki mniej zawiłemi i prostszemi uczynić, to też coraz zwiększa się liczba wnioskodawców, każdy ma inne projekty, chłód i rozwaga czynu znika, pozostaje tylko gorączka, wrzawa, plątanina myśli i niechęci osobistych, bo to influencya, zwyczajna bez konsekwencyi influencya...

* * *

Do czego doprowadzić może influencya, najlepiej przekonywa feljetonista „Hacefiry". Napada na pana Bolesława przepowiadając mu koniec Hamana:... Ale hola! bratku, wszak przyznajesz się sam do influencyi, no to dobrze, to bardzo dobrze, boć gość ten wędrując różne wzbudza wrażenia w rozmaitej sile, stosownie do układn nerwowego, i usposobienia oraz czułostkowości pod względem udzielania się wrażeń. Widzisz źdźbło w oku bliźniego, a belki we własnym nie dostrzeżesz. Prawda, że pan Bolesław jest czasami ned micrę rozdrażniony, nerwowy, — to też jednych wzrusza, drugich miejscami cieszy, miejscami rozśmiesza, tu dziury łata, jest Marcyanem Kordyszem, tam znów, do licha, doktorem Szotem... daje mikstury gorzkie piołunowate... fe, panie Bolesławie, nie bądź taki ostry, boś rozdraźnił biednego feljetonistę, — któremu trudno cię pojąć, bo leży w malignie pod influencyą, i majaczy, a majaczy, ale jak wyzdrowieje—a złość mu przejdzie, to się udobrucha, — co mu z serca życzę na nadchodzący rok nowy 1895.

A puszek jakby natchniony z wesołym błyskiem zdawał się ożywiać, i w całym majestacie szeptać... Lepsza słomiana zgoda, aniżeli proces złoty..

Natan Zylbersztajn.